

VariArt

pismo kulturalno-literackie
NR 03/2018 (40)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE
www.wbp.olsztyn.pl

POGRANICZE
POGRANICZE



STANISŁAW CZACHOROWSKI

Pogranicze – czasem ubogaca, czasem niszczy

W czasie okupacji moja babcia coś tam szmuglowała przez granicę, by wyżywić rodzinę. Akurat ich wysiedlili z własnego gospodarstwa. A granica przebiegała między Rzeszą a Generalną Gubernią. Krótka była, bo ani wcześniej jej tam nie było, ani później. Granice pojawiają się i znikają, są dynamicznym elementem kultury i geografii. Czasem są elementem atrakcji turystycznej, tak jak wyznaczanie historycznej granicy między Warmią a Mazurami. Te granice już niczego nie dzielą.

Granica nie tylko dzieli, ale i wytwarza pogranicze, czyli strefę w pobliżu. Jeśli granica jest szczelna, niczym żelazna kurtyna, to życie na pograniczu zamiera. Bo wszędzie daleko. Ale czasem granica ożywia, bo częściowo jest przepuszczalna. Zawsze coś i ktoś się przemknie, coś zakazanego przeniesie. Zupełnie jak w przyrodzie. Pogranicze bywa różnorodne.

Życie powstało, gdy pojawiła się granica. Błona komórkowa. Półprzepuszczalna, z porami i selektywnym wpuszczaniem i zatrzymywaniem. Powstało unikalne, specyficzne środowisko wewnętrzne z niezwykłym metabolizmem. I było środowisko zewnętrzne: źródło zasobów, pokarmu, innego świata, miejsce wyrzucania odpadów i tego, co zbędne. W większej skali ekosystemowej też są granice. A w ich otoczeniu – ekoton. Takie przyrodnicze pogranicze. Specyficzne, inne niż „zagranica” i inne niż wewnątrz danego ekosystemu. Często o bogatszej różnorodności biologicznej, miejsce spotkania różnych gatunków i unikalnych interakcji. Ekologiczne pogranicze – ekoton – najczęściej ubogaca.

Niby wyraźna jest granica między osobnikami: tu jeden, tu następny. Ale u grzybów i roślin (czy zwierzęcych organizmów kolonijnych) ukryte przed naszym wzrokiem powiązania i łączności znajdują się w glebie. Botanicy i ekolodzy roślin mówią o polikormonie. Kłęczami połączonych jest wielu osobników. My widzimy na powierzchni wiele różnych osobników, a one tworzą jeden organizm, czasem bardzo rozległy. Na przykład taka pokrzywa. Co roku widzimy, jak wyrastają nowe i liczne. A to jeden polikormon żyjący czasami i 50 lat. Znacznie rozleglejsza była na przykład opieńka, grzyb jaki znamy ze smacznych owocników. Tymczasem pod ziemią, w glebie, rozwija się jedna grzybnia, zajmująca czasem wiele hektarów powierzchni. Niektóre gatunki mrówek także tworzą powiązane sieci różnych mrowisk. Niby ich jest wiele, ukrytych na przykład pod miejskim chodnikiem, a tworzą jeden, współpracujący ze sobą, organizm społeczny.

Jest jeszcze skala. Dla małych organizmów granicą jest chodnik, brzeg zbiornika wodnego, skraj łąki, brzeg lasu. Dla dużych kręgowców granica to obszar wielkiego arealu (na przykład wilki, ptaki drapieżne czy migrujące ptaki). Ale też niektóre gatunki znaczą swoje terytorium. Na przykład odchodami i zapachem: Uwaga, to nasz teren, obcym wstęp wzbroniony. Bez walki terenu nie oddamy. My tych granic nie widzimy, dla nas one nie istnieją. A jednak dla kogoś w przyrodzie są ważne, nieprzekraczalne i wpływające na jakość życia.

W przyrodzie, tak jak w kulturze – dla jednych granice są barierą, dla innych ożywcym pograniczem. I są zmienne. Raz jest tu, raz tam, raz jest, drugi raz znika. Nic stałego. Ale zostają ślady. Ubogające ślady. Pogranicze zostawia ślady w kulturze na wiele lat. Tak jak między Brodnicą a Rypinem (tu Krzyżaki, tam Bose Antki). Czy jak między Warmią a Mazurami, uwidaczniające się w stylu architektury kościołów czy obecnością lub brakiem kapliczek.

Miasto jest pełne granic i zabójczych barier. Na przykład takie ulice i chodniki – granice nie do przebycia dla ślimaków, dżdżownic, mrówek i innych bezkręgowców. Zanim przejdą, coś je rozjedzie lub ktoś rozdepcze. Żelazna kurtyna. Ale są i takie gatunki, które potrafią fruwać, jak ptaki czy owady (nawet mrówki w okresie godowym – oczywiście tylko uskrzydłone samce i samice). Niczym przemysłownicy pokonują granice. Muszą tylko lecieć wysoko. Bo jak za nisko, to na maskach samochodu zakończą swój żywot. Dla nas to tylko dodatkowo wizyta w myjni – dla nich kres ich świata.

W mieście jest dużo śmiertelnych barier i granic. Wielu gatunkom żyje się ciężko. Tworzymy tych przeszkód zbyt dużo. A przydałyby się takie półprzepuszczalne pory, jak w błonie komórkowej organizmów żywych, by zwiększać migrację między izolowanymi wyspami miejskimi. Różnorodności biologicznej sprzyjają granice, ale tylko takie częściowe. Być może w kulturze jest podobnie.



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 03/2018:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Pogranicze – czasem ubogaca, czasem niszczy

04 WYWIAD

Z BORYSEM BARTFELDEM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI:
O trudnej i pięknej miłości do krainy dzieciństwa

07 POEZJA

MALWINA BANACH

08 POEZJA

WIACZESŁAW ZIENKIEWICZ

10 PROZA

HANNA BRAKONIECKA: Opowiadania

12 POEZJA

LEO BUTNARU

14 PROZA

HANNA BRAKONIECKA: Opowiadania cd

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

IWONA ŁAZICKA-PAWLAK O GRAFIKACH WIESŁAWA BIEŃKUŃSKIEGO

16 GALERIA

WIESŁAW BIEŃKUŃSKI

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

ANNA M. MAJEWSKA: Cztery maszyny

20 INICJATYWA

ANNA OSOWSKA: Nie bój się lustra – 35 lat Grupy Literackiej Barcja

23 RECENZJA

JUSTYNA ARTYM: PoGranica

24 WYWIAD

MARTA CHYŁA-JANICKA: Cesarz z Zatorza, czyli na pohybel hipotermii

26 WYDARZENIE

ANNA RAU: Ludzie w labiryncie

28 FELIETON

ARKADIUSZ ŁUBA: Żydowski mord rytualny – długie życie kłamstwa

30 LITERATURA

ANITA ROMULEWICZ: Młodzi z Różą Małego Księcia

Pierwsza rocznica nazywana jest papierową. Bywa, że po roku działalności czasopismo ginie, „VariArt” dotrwał do cynowej dziesiątki: czterdziestego, rubinowego numeru. Czy dalej będzie istniało to miejsce, w którym, jak prognozowaliśmy w pierwszym numerze (1/2008), w kulturze będą funkcjonowały zjawiska pisane dużą literą? Zobaczymy.

W jubileuszowym numerze o swoim koledze, reżyserze Michale Kupiszu, ale i trochę o sobie, reżyserce, pisze Marta Chyła-Janicka, którą prezentowaliśmy już w pierwszym numerze razem z przedstawicielami grupy „Olsztyn Wschodni”. Pojawia się też autor ze wspomnianego numeru 1/2008 Krzysztof D. Szatrawski, który dziś zajmuje nasze łamy przede wszystkim jako tłumacz i twórca głównego wywiadu „VariArt” – w najnowszym wydaniu jego rozmówcą jest Borys Bartfeld, literat tuż zza północnej granicy. Granica i pogranicze są w ogóle wiodącym tematem tego numeru. O filmie „Granica”, oglądanym na olsztyńskiej WAMA Film Festiwal, pisze Justyna Artym i, jak zwykle, kij w mrowisko, tym razem pograniczne, wbija Stanisław Czachorowski. Anna Rau (wieloletnia autorka wariartowego „Fotomonitora”) oprowadza po labiryncie przesiedleńczej historii. Sztukę na pograniczu malarstwa i grafiki profesora Wiesława Bieńkuńskiego oraz grafiki i dźwięku doktoranta Marcina Piotrowicza zobaczymy w galeriach „VariArt”.

Przekraczając metalową granicę, przechodzimy już do następnego, rocznicowego wydania. Czwarty numer poświęcimy stuleciu niepodległości – nazwa dla tej rocznicy nie została jeszcze określona. Może karbinowa?

Sobie i naszym Czytelnikom
życzymy kryształów.

Może i nawet brylantów?! A co!

Redakcja, jeszcze nieozłocona

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 03/2018 (40)

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
<http://aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart>; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okladka: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Z BORYSEM BARTFELDEM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

O trudnej i pięknej miłości do krainy dzieciństwa

KS: Urodziliśmy się po dwóch stronach granicy rozdzielającej jeden historyczny i geograficzny region. Łączy nas wiele – i miłość do muzyki, i zainteresowanie filozofią, ale w twoich wierszach znalazłem przede wszystkim miłość do krainy, która i mi jest bliska. A często także twój punkt widzenia na jej historię jest mi bliski. Może to duch miejsca? Jako racjonalisci powinniśmy oczywiście poszukiwać racjonalnego wyjaśnienia tego fenomenu.

BB: Tak myślę, że oprócz ducha miejsca był jeszcze wspólny duch czasów. Dorastaliśmy w elegijnej krainie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w czasach, które płynęły bez pośpiechu. Stąd prawdopodobnie wzięła się nasza skłonność do czytania, rozmyślań i marzeń. Odpowiadał temu także krajobraz naszej Ojczyzny. Przecież urodziłeś się na Mazurach, w krainie jezior i wzgórz, a właśnie za moją rodzinną miejscowością Nowostrojowo równina zaczyna się łądować i pojawiają się pierwsze wzgórza, między którymi w oczach jezior odbija się niebo – w rzeczy samej jest to już początek Mazur.

Pamiętam pierwszą wizytę w Obwodzie Kaliningradzkim, podróż drogami obsadzonymi starymi drzewami, przypomniła mi dzieciństwo i nie tylko drogi, ale cała przestrzeń zrobiła wrażenie bliskiej.

Tak, oczywiście, te pasma dróg – nieskończone aleje wijące się między wzgórzami. A jeszcze dachy domów, ostro zwieńczone, pokryte czerwoną dachówką – to tajny kod naszego dzieciństwa.

Wspólna przeszłość odcisnęła swe piętno także w krajobrazie kulturowym, w planach miast, w podobieństwach architektonicznych. Ale zabudowa także w jakiś sposób pochodzi z tej ziemi, z miejscowej gliny, z której produkowano cegłę...

Może nie poszukiwałbym takich bezpośrednich związków. Ty jesteś Polakiem do szpiku kości, ja Rosjaninem. Wszystko zależy od rodzinnego języka i kultury. Ale twoje pytanie naprowadziło mnie na taką myśl, że życie, a zwłaszcza dzieciństwo, spędzone w przyrodniczym i architektonicznym krajobrazie innej kultury, minionej cywilizacji, ukształtowało w nas większą wrażliwość, większą otwartość i większy szacunek wobec wszelkich świadectw przeszłości, w tym także wobec osiągnięć kulturowych. Do 12. roku życia nie zdawałem sobie sprawy, że żyję w środowisku krajobrazowym i architektonicznym wyraźnie odróżniającym się od większej części Rosji. Niczego nie musiałem sobie przysposabiać, do niczego nie dążyłem, po prostu żyłem w tej krainie i wszystko to stało się moim światem, podobnie jak twój.

Odnoszę czasami wrażenie, że o związkach z przeszłością Prus Wschodnich w Rosji mówi się z większą otwartością.

Masz rację, ale tylko częściowo. Rzeczywiście było tak od 1986 do 2015 roku. Przed rokiem 1986 odrzucano całą historię regionu do 1945 roku. Można jej było doświadczyć, zobaczyć dookoła, dotknąć rękoma, w dosłownym znaczeniu obmyć ręce w autentycznej, będącej częścią tej historii, umywalce i usiąść za obiadowym stołem pamiętającym tamte czasy, tamtą kulturę. Tej rzeczywistej, materialnej historii w naszym dzieciństwie było znacznie więcej niż obecnie, ale nie można było o niej przeczytać, usłyszeć na wykładzie, zobaczyć w muzeum, w kinie czy w telewizji. Później w tej kwestii nastąpiła zasadnicza zmiana, do świadomości społeczeństwa dotarło mnóstwo informacji, które wzbudziły duże zainteresowanie.

Trudno mi uwierzyć, że, stykając się ze świadectwami dawnej świetności, ludzie nie zadawali sobie pytań dotyczących rzeczywistości, która minęła, pozostawiając pełne znaczenia ślady. Pamiętam to z autopsji, to było niczym memento. Takie dowody prywatnych, osobistych badań historycznych znajdowałem wielokrotnie w prozie kaliningradzkich autorów, na przykład w „Pruskiej narzeczonej” Jurija Bujdy, „Annie z Königsberga” Olega Głuszki i w twojej powieści „Powrót na Golgotę”. W każdej z tych książek ogromną rolę odgrywa motyw mierzenia się z przeszłością, próba poznania i zrozumienia, która w rezultacie jest źródłem zmian w życiu bohaterów.

W owym czasie powstał ogromny rozłam pomiędzy sferą prywatną i społeczną. Ludzie żyli w tym niezwykłym krajobrazie historycznym, odczuwali jego wyjątkowość, dyskutowali o tym w domu, w gronie przyjaciół, ale w sferę społeczną to się nie przenosiło. Z rąk do rąk wędrowały odnalezione mapy, stare książki i fotografie. Te archiwalne materiały reprodukowano, bowiem budziły ogromne zainteresowanie. I zdarzało się, że to zainteresowanie przybierało zupełnie fantastyczne kształty.

Fantazji w grodzie nad Pregolą chyba nigdy nie brakowało i nie brakuje do dziś. W końcu miasta portowe zawsze były oknem na świat. Ale też cały region, nawet małe miasteczka, pełne były historii czekających na odkrycie. Sam pamiętam, z jaką radością czytałem, że w moim rodzinnym Kętrzynie działy się rzeczy ważne również z punktu widzenia europejskiej kultury. Na pewno masz podobne doświadczenia.

Moja rodzinna miejscowość Nowostrojowo, od litewskiego Trempai, w języku niemieckim nazwana Trempen, ma bogatą historię. Pierwsza informacja o niej pochodzi z 1469 roku.

Fot. z archiwum Boyssa Bartfelda



Około 1550 roku powołano parafię ewangelicko-augsburską, a w 1579 zbudowano kościół. Pierwszym pastorem zboru został Johann Batocki. Jego następcą był badacz języka litewskiego Johannes Partatius, ożeniony z Anną Neander, która później stała się bohaterką popularnej do dziś niemieckiej pieśni ludowej „Ännchen von Tharau”.

To w niej zakochał się mistrz dawnej niemieckiej poezji Simon Dach, kiedy ujrzał ją na ślubnym kobiercu!

Później, przez 30 lat, obowiązki pastora w Trempen pełnił jeden z pierwszych zbieraczy litewskiego folkloru, leksykograf Jakub Brodowski.

A niedaleko w Tollmingkehmen mieszkał największy chyba twórca poetyckiego języka litewskiego Kristijonas Donelaitis. To niesamowite, jak wielu wyjątkowych, utalentowanych i pracowitych twórców działało na tym terenie.

Znaczący wkład w rozwój litewskiego języka, litewskiej literatury i kultury wniósł w okresie niemal pięćdziesięciu lat posługi duchowej na stanowisku pastora w Trempen absolwent Albertyny Gottfryd Ostermeier. 300-lecie jego urodzin obchodziliśmy w 2016 roku. Będąc etnicznym Niemcem, doskonale opanował język litewski i napisał „Nową gramatykę litewską”, występował także aktywnie w obronie kultury językowej i etnicznej narodu litewskiego.

Okres, kiedy historycy i krajoznawcy mogli do woli dociekać prawdy i porządkować pozostałości minionego świata, był jak odkrycie Atlantydy. Podobny proces miał miejsce w Olsztynie, gdzie podstawową rolę odegrało środowisko skupione wokół Borussii.

U nas trwało to do chwili, kiedy w 2015 roku pojawił się otwarcie prowokacyjny ruch, próbujący rzucić podejrzenia o „germanizację” i zakładanie piątej kolumny na tych, którzy interesowali się historią regionalną. Mam nadzieję, że teraz już dla wszystkich stało się jasne, że jest to kompletna bzdura, a fala podobnych oskarżeń opadnie.

Rzeczywiście w powojennej Polsce stosunek do niemieckiej przeszłości kształtował się inaczej. Może nie było tak silnych sprzeczności, ale i zainteresowanie było mniejsze. Swoją rolę odegrały także różnice natury politycznej...

Z punktu widzenia polityki jest różnica zasadnicza. Królestwo Prus było europejskim sojusznikiem Rosji, oczywiście z wyłączeniem okresu wojny siedmioletniej. Takie sojusznicze relacje trwały do końca panowania Wilhelma I. A oprócz tego, poczynając od Piotra I, ten właśnie region Prus pozostawał widownią aktywnej współpracy handlowej, transportowej, edukacyjnej i naukowej. Nawet dwie straszliwe wojny XX wieku nie zdołały tego zatrzeć. W tym samym czasie między Polską i Królestwem Prus, a później Niemcami, panowały relacje o bardziej konfrontacyjnym charakterze.

Miałem na myśli czasy powojenne. U nas za pomocą szerokich oddziaływań propagandowych próbowano narzucić narrację, w której Wschodnie Prusy były ziemiami należącymi się Polsce, zabranymi w efekcie rozbiorów, a ziemi niemieckie, jakie w 1945 roku przypadły Polsce, określano mianem Ziemi Odzyskanych. Z tego powodu jakiegokolwiek związek z kulturą niemiecką, w tym także używanie niemieckich toponimów, głównie nazw miast, traktowano jako sprzeczne z polską racją stanu, a wręcz jako zdradę. I to chyba było przyczyną zasadniczo różnych postaw wobec pruskiej tradycji, bo, o ile pamiętam, zainteresowanie przeszłością było zawsze. W latach siedemdziesiątych nauczyciele historii zachęcali uczniów, by przynosili znalezione historyczne przedmioty i urządzali wystawy. Możliwe, że tak, ale w odróżnieniu od Polaków my pomiędzy rokiem 1946 i 1948 zmieniliśmy radykalnie wszystkie nazwy. Chyba tylko nazwy rzek pozostawiliśmy bez zmiany.

I to też dotyczy raczej większych rzek. Mniejsze zostały po prostu przetłumaczone. U nas też stosowano takie rozwiązania. Gutstadt przetłumaczono jako Dobre Miasto, a wiele nazw mogło pozostać bez zmiany dlatego, że już przed wojną istniały polskie odpowiedniki. Dla przykładu Olsztyn to tradycyjna polska nazwa miasta, które po niemiecku nazywało się Allenstein.

Na ten temat miałem takie paradoksalne spostrzeżenie jeszcze w końcu lat dziewięćdziesiątych: relacje pomiędzy rosyjskimi Kaliningradczykami i Niemcami z Prus są bardzo ciepłe i serdeczne, bez względu na to, że my zburzyliśmy niemieckie kościoły i domy, zrównaliśmy z ziemią cmentarze. Natomiast pomiędzy Polakami, którzy wszystko to w większości zachowali, a pruskimi Niemcami relacje są o wiele bardziej napięte.

MALWINA BANACH

Wiersze

ZAPROŚ MNIE NA OBIAD

Pomilczymy przez chwilę razem
 Tak talerz w talerz
 Ze śliną pomiędzy gardłami.
 Poczekaj i daj mi
 Wylizać szkło
 Poskromić głód krótkoterminowych związków
 A zanim całkowicie w tobie skrzepnę
 Możesz
 Włączyć ustami freudowskie id-eologie
 Udowodnić całkowitą wyższość nad moją jednostką.
 I nie pytaj
 Czemu się nie bronię przed twoim działaniem
 Łaskoczę cię w uszy
 Język
 Pseudoaltruistycznymi pojęciami
 I myślę że poświęcenie kosztuje najwięcej
 Kiedy mimo wszystko nie znajdujesz
 Tezy
 Dowodu
 W drugiej osobie.

NA KANAPIE

Myślami siedziałeś na tej samej kanapie,
 więc kiedy zaczęłam się dziać,
 nie mogłeś dłużej pozostać obojętny.
 I każde twoje słowo było wyrwane z kontekstu.
 Dokonuję nadiinterpretacji czynów,
 bo myślę, że bez spodni obnażasz się jednak
 i w tej całej swojej zdolności obserwuję,
 jak obracasz krzyż pleców
 wokół własnej osi.
 Poprawiasz asymptotę komfortu.
 Układasz poduszki pod ścianą.
 I myślisz o tym,
 żebyś ja ci była jeszcze bardziej wygodna.
 Zmieniasz nam prześcieradła
 i wybierasz okruszki ze szczelini.
 Smarujesz śliną palce,
 przytykasz do twarzy.
 Nakładasz barwy wojenne.
 Więc kiedy mnie dotykasz,
 Myślę, że tylko w jednym celu.
 Odsączasz mnie jak torebkę herbaty,
 odkładasz na talerz.

MALWINA BANACH – ur. w 1998 r. w Olsztynie, absolwentka II LO, studiuje sztuki plastyczne. Pierwsze doświadczenia pisarskie zdobywała na zajęciach Pracowni Literackiej Pałacu Młodzieży. Jej wiersze publikowały „Borussia” i „VariArt”. Laureatka konkursu Olsztyński Tom Poetycki 2018 zorganizowanego przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Olsztyn. W „VariArcie” prezentujemy wiersze z debiutanckiej książki *300 dni bez psychiatrii* (2018).

Sąsiedzkie relacje bywają napięte. Najwięcej jednak dla lepszych relacji możemy zdziałać, kiedy zaczynamy od własnej postawy. Sprzed kilku lat pamiętam stojące przed wjazdem do Kaliningradu billboardy reklamowe z kuflem piwa Königsberger Pils. Pomyślałem wówczas, że u nas nazwa piwa Allensteiner musiałaby jednak wzbudzić kontrowersje. A przecież przedwojenna nazwa Kaliningradu pojawiała się już w czasach ZSRR, na przykład kaliningradzkie przedsiębiorstwo transportowe już wówczas nazywało się Koenigavto.

Nazwy rozmaitych firm, w których pojawiało się słowo Königsberg i inne historyczne symbole nawiązujące do przeszłości miasta, pojawiały się i pojawiają nadal.

Na przykład Hotel „Albertyna”, którego nazwa jest odnośnikiem do słynnego w całym świecie königsbergskiego Uniwersytetu. W minionych latach kilka razy czytałem głosy o możliwości powrotu do przedwojennej nazwy. Leningrad stał się Sankt Petersburgiem, ale Kaliningrad wciąż jest Kaliningradem.

Sytuacja Sankt Petersburga jest zupełnie inna. Temat przywrócenia Kaliningradowi nazwy Königsberg nigdy nie był poważnie rozpatrywany. Pojawiały się przebłyski w dyskusjach, były jednak traktowane raczej jako prowokacje. Nikt poważny nie brał w nich udziału.

Często czytam o dyskusjach dotyczących przyszłości miasta nad Pregolą, w tym również planowania obrazu przyszłego centrum, zabudowy wyspy wokół nowego stadionu, tworzenia instytucji, które sprawią, że Kaliningrad stanie się znaczącym centrum kulturalnym.

I jest to związane nie tylko z miłością mieszkańców do historii swego miasta, jest jeszcze jedna przyczyna, o której należy w tym miejscu wyraźnie powiedzieć. Kochamy swoje miasto i chcemy, by mogło się dynamicznie rozwijać, stawać się jeszcze bardziej wartościowym miejscem, zajmować jeszcze bardziej znaczące miejsce w Europie. A w takim sensie Königsberg był znany w Europie jako jeden z najwyższ cenionych ośrodków. Chcielibyśmy, aby nasz uniwersytet miał takie samo znaczenie we współczesnej nauce, jak kiedyś miała Albertina, żeby nasz port był znaczącym centrum handlu, aby nasza orkiestra filharmoniczna była znana w Europie, a ogród zoologiczny ulubionym miejscem dla dzieci z całej Rosji i z państw sąsiednich. Chcielibyśmy, aby nasze miasto zajęło wysoką pozycję, a historia podpowiada nam, w jaki sposób można to osiągnąć.

W Kaliningradzie działają różne organizacje pisarskie. Jesteś członkiem PEN-Clubu i przewodniczącym Związku Rosyjskich Pisarzy. Ale są też inne organizacje

i mnóstwo literatów nienależących do żadnych organizacji. Biorąc pod uwagę ich aktywność, można byłoby podejrzewać, że miejsca na rynku wydawniczym wystarcza dla wszystkich. Ogromna liczba piszących i coraz mniej czytelników to dzisiaj już problem światowej kultury.

Masz rację. Mamy dziś wielu piszących, ale niewielu czytających. W Kaliningradzie działają dwa oddziały federalnych organizacji pisarskich (Związek Rosyjskich Pisarzy i Związek Pisarzy Rosji) razem liczące około 80 osób. Oprócz tego jest kilkadziesiąt osób stale zajmujących się twórczością literacką. Należy też wspomnieć o grupie początkujących autorów, a przeżywamy obecnie prawdziwy renesans młodej poezji. Z dziesiątkiem aktywnie działających stowarzyszeń młodzieżowych, zrzeszających ponad stu aktywnych autorów. Poza tym w mieście i regionie działa 36 stowarzyszeń literackich z ogólną liczbą około 500 członków.

Imponująca liczebnie grupa pisarzy na pewno ma również znaczne oddziaływanie promocyjne. Czy jako organizacje pisarskie próbujecie przeciwdziałać upadkowi czytelnictwa i czy w ogóle twoim zdaniem możemy cokolwiek osiągnąć?

Powinniśmy szukać nowych form poetyckich, nowych tematów i tworzyć nowe standardy jakościowe. Z funkcjonalnego punktu widzenia literatura znacznie ustępuje muzyce, sztuce filmowej, teatrowi i nowym, sieciowym rodzajom twórczości. To bolesny temat, ale i wielkie wyzwanie – zachęta do poszukiwań i pracy.

Twoja powieść „Powrót na Golgotę” stała się gestem humanisty przeciw wojnie. Czy dobrze odczytuję twoją intencję, by przywrócić przeciwny punkt widzenia właśnie dziś, kiedy coraz więcej osób postrzega wojnę jako przygodę?

Niestety, nie wszyscy odczytali powieść w taki sposób. Dla większości czytelników jest to opis wojny i przygód bohaterów, chociaż gdy pisałem tę książkę, przyświecał mi inny cel. Z założenia była to powieść antywojenna. Cały tekst przenika tragedia ludzi zarówno biorących udział w działaniach wojennych, jak i odczuwających ich skutki. Wojna przynosi śmierć i cierpienie również swoim ulubieńcom, bohaterom i apologetom. Coraz częściej jesteśmy skłonni stosować militarystyczną retorykę i punkt widzenia. W mojej nowej książce poetyckiej jest taka strofa:

Tak i my, jeden za drugim
 błądzimy skroś ruiny, ciasny
 krąg, w wieczność zapadnie pamięć
 o nas, założycielach ogrodów
 co nie śpiewali wojennych pieśni.

Chociaż w twoim nowym tomie poetyckim zatytułowanym „Łowca słów” jest wiele odniesień do twojego osobistego życia, do geografii obwodu kaliningradzkiego, zwracasz się ku uniwersalnym problemom życia, łowiąc nie tylko słowa, ale także i chwile, które ze słowami są nierozzerwalnie związane... Jestem piewcą ojczystej ziemi. Ale poprzez historię wzlotów i upadków naszego regionu, próbuję spojrzeć na dylematy i wartości wspólne wszystkim ludziom. Los naszej zadziwiającej krainy sam w sobie jest rozwiniętą, tragiczną metaforą.

Wypowiedź poetycka oddziałuje na najwyższym, najbardziej uniwersalnym poziomie, nie obawiasz się, że przez to staje się na swój sposób elitarna i mniej zrozumiała dla dużej części społeczeństwa?

Uważam, że poetycka mowa, poetycka ekspresja pozostają najbardziej czytelnym, najsilniejszym pod względem emocjonalnym nośnikiem informacji. I są dostępne powszechnie, dla wszystkich warstw i grup społecznych. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak pisać wiersze i recytować je, nawet jeżeli będziemy zmuszeni występować z nimi na skrzyżowaniach i skwerach.

BORYS BARTFELD – ur. w 1956 r. w obwodzie kaliningradzkim pisarz, poeta, animator kultury. Jest przewodniczącym kaliningradzkiego oddziału Związku Pisarzy Rosyjskich, założycielem i przewodniczącym Rosyjskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Kanta, członkiem PEN-Clubu. Z wykształcenia fizyk teoretyk, absolwent Wydziału Matematyczno-Fizycznego Państwowego Uniwersytetu Kaliningradzkiego. Borys Bartfeld jako znawca historii Królewca i Prus Wschodnich, utrwała pamięć o historii miasta, regionu oraz Albertyny i związanych z królewieckim uniwersytetem luminarzy nauki. Jest również znawcą i popularyzatorem twórczości E. T. A. Hoffmanna, a także organizatorem konkursu literackiego imienia tego wielkiego romantycznego twórcy.

WIACZESŁAW ZIENKIEWICZ

WIERSZE

* * *

nietknię
ta ka kuszą
ca ryca rozkoszy
wszystko
gra w to
bie dne oczy mo
je dzenie trujące
przyzwoi
tość
kość
którą się
dławisz
pętla w
której
drgasz
jedynej
szansy
nie
masz

2018 III 22

* * *

zaczyna się
wojenka święto
zbijania nakarmi
gęby ziemi
ciałami
ciałami

zaczyna
się wojenka
złowroga noc
zapadnie wśród
bólku krwi i
szczęku dusza
ma przepadnie
zaczyna się
wojenka ja
muszę ja
muszę zostawić
ci panienko
w serduszku swą
duszę potoczy
się wojenka
na pewno
zabiją ziarenko
duszy w sercu
kochanej wyżyje
potoczy się
wojenka
zdradziecka
bezczelna na
zawsze wrośnie w
wieszak sukienka
weselna panoszy
się wojenka
płomienie coraz
wyżej powycinają
lasy na krzyże na
krzyże przetoczy
się wojenka niemita
po świecie zapłaczą

na mogiłach
osierocone
dzieci zakończy
się wojenka obudzi
zima wiosnę
a
krzyże to są
drzewa co
nigdy
nie
rosną

2018 XI 11

* * *

się
podniecasz
cesarzowo
miłości
wątpiących
za
gardło
chwytasz
bawiąc się
sercami
pedałujesz
ciśnienia
słupek
na
chwilkę
tylko
na

zabawę
obawa
potem przyjdzie
potem ciało
zaleje
szaleje
na razie
w żyłach
krew
ścierwo
swoja i
cudza
swoja
i
swoja
jabłko
niezgody
na tysiąc
części
rozkroję
a
będzie
za mało
włochatość
cudowna
ciała
chcia
teś
chcia
łam
taś
mo ciąg le
to sa mo...

2018 III 05

* * *

... ojciec święty Franciszek
zachęca wszystkich wiernych
do codziennego odmawiania
różańca i kończenia go
starożytną antyfoną
pod Twoją obronę...
magazyn
kuriera wileńskiego radością
przepełniony ameryka
będzie broniła naszego
regionu... dziwna ilustracja
okładkę zdoła... na tle jakby
kulami podziurawionej
wyptowiałej amerykańskiej
flagi wpatrzona w czarne
okulary (niewidoma?)
jak belga narzeczona
niewzruszona z twarzą

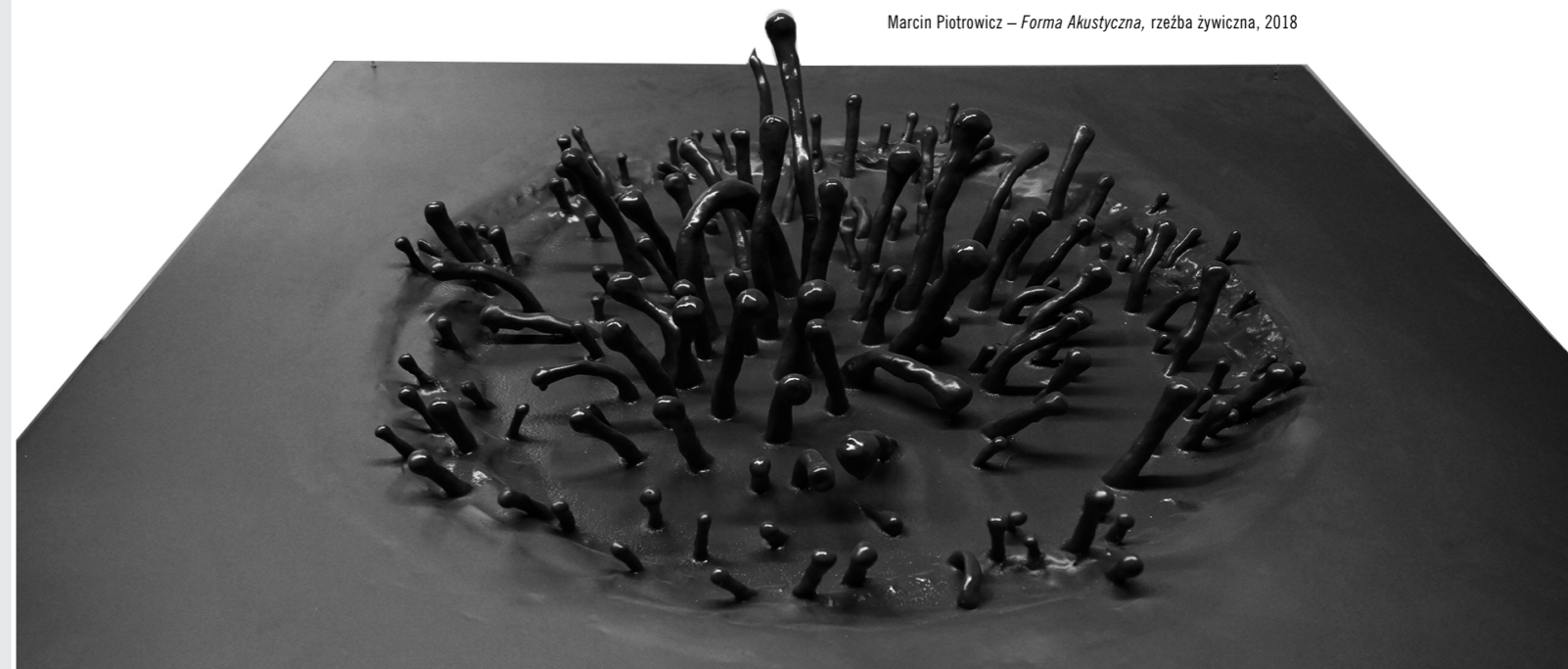
woskowych figur z muzeum
madame Tussauds USA-ska
dziewczyna przyciska zimne
cielsko przyozdobionego
celownikiem optycznym
maszynowego karabinu ...
(chyba nie chce brzuchacieć
albo nie może mieć dzieci...)
ten symbol najgroźniejszej
imperialnej armii na świecie...
rozumiem że to jest dla oka...
rozumiem że prezydent wkrótce
się zmieni...
rozumiem że młoda lepsza
niż stara... może jej też
nie(powiodło) się w życiu...
schwyła karabin i w
celowniku wypatrywać będzie

wybranego który nawet nie
podejrzewa o zabójczej
mi(z)łości panienki...
pachnie wojną... nawet ten
magazyn pełen jest
amunicji... nie
zrozumieliśmy oczywiście
bożej przestrogi... ojciec
święty nic nie powiedział o
tym że samoloty z ekipą
prezydent tak przypadkowo
nie padają spod nieba...
wielka szkoda tego naszego
bezbronnego regionu na
mapie wojskowej w łapach
niezrównoważonych
szaleńców...

2018 X 14

WIACZESŁAW ZIENKIEWICZ – ur. w 1962 r. we wsi Sawiczuny w rejonie wileńskim. Nauczyciel historii, poeta, tłumacz poezji z języka litewskiego i rosyjskiego. Jego debiutancki tomik wierszy *Wśród kwiatów zimnych gwiazd* ukazał się w 2018 r.

Marcin Piotrowicz – *Forma Akustyczna*, rzeźba żywiczna, 2018



HANNA BRAKONIECKA

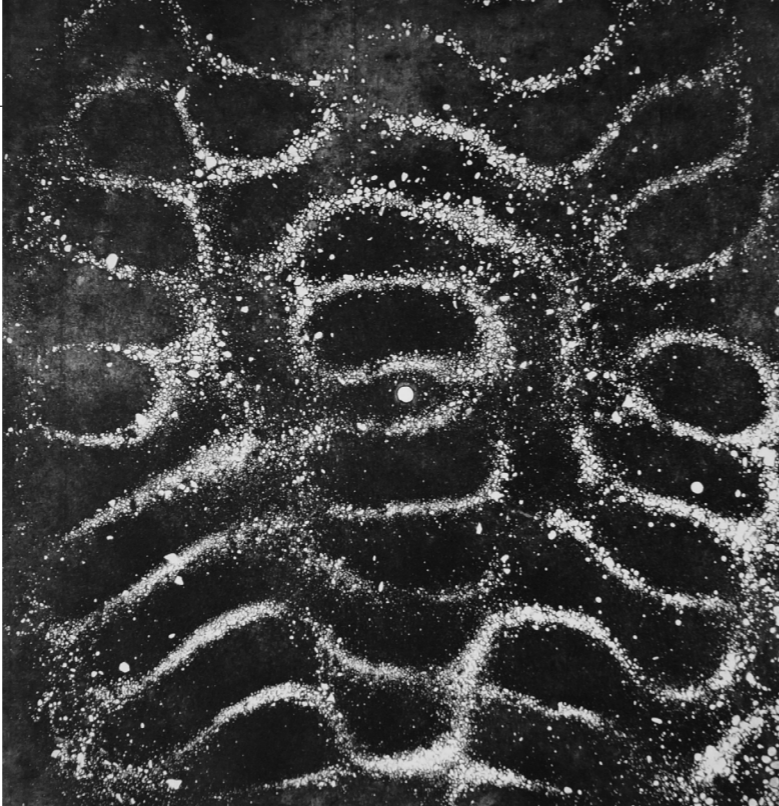
Opowiadania

NIGDY JUŻ TEGO NIE ZROBIĘ

W końcu powiedziała, przepraszam i dziękuję. Wanda aż się popłakała. Bo to, co przez nią przeżyła, nie da się ogarnąć. Na razie wraca do domu i wyciera łzy. Zrezygnowała nawet z tramwaju, bo wstydzi się tak publicznie płakać. Bez sensu. Luśka już w domu, tak szybko ją wypisali. Ale podziękowała i powiedziała, że już nigdy tego nie zrobi. Oby. W zasadzie powinna być spokojna, przecież wszystko się dobrze skończyło, no i ta deklaracja Luśki, że będzie dobrze.

Ale łzy muszą się wylać. To z tego napięcia. Tyle godzin w jakimś obłądnie. Jak mogło do tego dojść? Przecież jeszcze pół roku temu siedzieli razem i śmiały się, że ten idiota, Wojtek, odszedł do Marianny. Współczuły dziewczynie, cieszyły się, że wreszcie się i ona, Lusia, pozbyła drania, z którym trzydzieści lat dręczyła się w upokorzeniu i cierpieniu. Nawet terapia dla współzależnych nie pomagała. Siedziała przy nim i znosiła jego zdrady i pijaństwo, a przede wszystkim to podłe, lekceważące traktowanie. Więc piły wino, słuchały Beatlesów, jak za czasów młodości, kiedy wracały z randek i opowiadały sobie o pierwszych pocałunkach i nie tylko. Teraz też, jaki on durny, a ona jeszcze bardziej, bo z nim tyle lat, co za kretyn. A przecież jest i Stefan, co zawsze komplementy w windzie miłe, chociaż może niezbyt wyrafinowane, opowiada, a dwadzieścia lat temu to nawet miała sympatyczny romansik w wczasach, gdy ten idiota się schlał i złamał nogę, więc nie pojechał z nią, tylko popijał do lustra w domu i w gipsie. Wspominała więc tamtego pana Andrzeja, z którym się nawet nieśmiało przespalała ostatniej nocy, chociaż nic z tego nie mogło wyjść, bo był solidnym katolikiem z czworgiem dzieci i pobożną żoną. Ale bardzo długo na pożegnanie całował ją w rękę i mówił, że nigdy jej nie zapomni. Na pewno, śmiały się potem, często się z tego spowiadała. A teraz przy tym winku rozczulała się tym wspomnieniem, że jednak szkoda, że chociaż dłuższy romans z tego nie wynikał. No i w końcu konkludowały, wprawdzie pięćdziesiąt osiem lat ma, ale jak się weźmie za siebie, pójdzie na jogę i do kosmetyczki, to przecież niejednego zawojuje. Są portale randkowe, poradzi sobie. Ale nie poradziła, zapadała się w sobie, chudła i sama zaczynała popijać. Wanda wolała ją do siebie, wpadała co niedziela, zmuszając, żeby się ubrała, umalowała, wyszła do kina chociaż. Daj mi spokój, nic mi nie jest. Te słowa najczęściej słyszała z ust siostry.

Aż do tego dnia, kiedy córka do niej zadzwoniła, że ciocia Lusia płakała jej w słuchawkę, że gdyby umarła, to niech ją spalą i wsypią do grobu babci. Więc sama zaczęła do

Marcin Piotrowicz – *Tajemnice Rezonansu*, akwatynta, 50x50 cm, 2018

niej wydzwaniać i rzeczywiście za którymś razem odebrała i półprzymnym głosem wybełkotała, pamiętajcie, że was kochałam i wybaczcie mi wszystko. No to pędem do taksówki i pod drzwi mieszkania siostry walić pięściami i parasolką, dzwonić bez końca i słyszeć dźwięk jej komórki w głębi mieszkania. Aż sąsiedzi wystawiali zaciekawione głowy. I do znajomej, co ma męża złotą rączkę, może otworzy te zamknięte na głucho drzwi. Ale, pani kochana, to nie te czasy, co się byle wytrychem przekreśliło w zamku, nie da się tak. Nie poradzę nic, wyważyć trzeba. Na pogotowie dzwoni pani, sąsiadka z boku ponaglała, więc dzwoni i słyszy, żeby wezwać też policję. Dygocze, wszystko w niej dygocze, zbierają się pod drzwiami coraz to nowi doradcy, a ona w centrum tego tłumu, zarządzająca, półprzymymna. Lekarka z pogotowia, jeszcze policja niezawiadomiona, niech pani szybko i po straż pożarną dzwoni, bo tu sekundy się liczą. Jej ręce się trzęsą, da pani, ja zadzwonię, sąsiad z dołu wyrzywa telefon. Już jadą, już wchodzi, wywalają drzwi z framugą. Huk, pył, wyciągnięte szyje, żeby zobaczyć jak najwięcej, a ona w przerażeniu, jak w sennym koszmarze widzi, że kładą bladą kobietę na noszach i szybko do szpitala wiozą, a tu te drzwi rozwalone, niech ktoś pomoże, rozchodzą się ciekawscy, jaka gratka dla złodziei, komentują. Jeszcze nie mogła płakać wtedy, musi przecież kogoś zawołać, żeby pilnował. Więc znów telefon do tej złotej rączki, a on myśli i wysyła w końcu młodego chłopaka, który ciągle szuka roboty, będzie pilnował i powoli reperował drzwi za godziną zapłatą. Niech już tak będzie. Teraz pędem do szpitala. Taksówką najlepiej, na OIOM, bo gdzie. I w końcu odzyskuje przytomność ta jej nieszczęsna siostra, która całe opakowanie relanium połknęła, żeby skończyć z tym podłym życiem, a tu znów, apiać, od początku, więc patrzy

na nią nienawistnym wzrokiem i syczy przez zaciśnięte zęby, coś ty mi, kurwa, zrobiła. Teraz idzie do domu Wanda, idzie i płacze, nareszcie płacze porządnie, a co tam, niech się gapią. Musi wreszcie to wypłakać, rozluźnić ściśnięte od tylu dni gardło, odetchnąć głęboko i myśleć, że w końcu siostra powiedziała: Dziękuję, nigdy już tego nie zrobię. 02 VI 2017 r.

ZAPOMNIAŁAM

Halo, cześć. Jak się masz, bo mnie znów gardło boli. Wczorajszy półgodzinny spacer mnie dobił. Dobrze, że nie poszłam na manife, bo bym skończyła w szpitalu. Byłam dziś u kosmetyczki, zlikwidowała mi wąsy. No tak, wąsy w naszym wieku są rzeczą oczywistą. Wszystkie mają. Oprócz mnie. Od dzisiaj. Co ja jeszcze chciałam? Wszystko zapominam. Zgubiłam pamięć. Wszyscy gubimy. Mój Romek kupił jakiś środek na potencję, ale zapomniał, gdzie go wsadził. Mówię, jak się nazywa, to pomogę ci go znaleźć, a on na to, zapomniałem. Zresztą, dobrze, że zgubił, bo jeszcze by mu żyłka pękła. W naszym wieku takie ekscesy raczej niewskazane. Ja już nie wiem, łóżko to nam służy tylko do jego chrapania i mojego go co chwila budzenia, żeby przestał. Przedwczoraj oglądaliśmy *Przypadek* Kieślowskiego i ten Kieślowski tam z jakąś. Nie Kieślowski? A no tak, tam młody Linda uprawia seks z jakąś młodą laską. Leży na niej klasycznie. Stęka, wzdycha. A my patrzymy na to jak na jakiś wjazd Mieszka pierwszego. Bo dla nas to już historia. Kompletnie zapominamy, o co tam chodziło. Patrzymy i nic, żadne stękania i wzdychania nas nie ruszają, takie mumie statyczne. Żądze moje jak się mają? Pojawiły mi się trzy dni temu o dwunastej w południe, ale musiałam wyjść do pracy i odeszły. Teraz też muszę wyjść już, a więc wstaję i oddalam się krokiem tanecznym, kładąc ci ręce na szyi, no i ścisnę cię mocno, moja przyjaciółko. 07 III 2011 r.

NA BALKONIE

Chciała kilka minut posiedzieć na balkonie, żeby przez chwilę побыć sama. Popatrzeć na drzewa. Słońce zaczęło przedzierać się przez chmury, pojawił się ten cudowny, późnokwietniowy błękit. Dobrze tak wciągnąć czyste powietrze w płuca, głęboko odetchnąć, a jak się przymknie oczy i popatrzy na korony brzoź i wierzb, które okalają osiedlowy plac zabaw, to zaraz można się znaleźć tam za cmentarzem, gdzie był ten cudowny dworek, zwany pałacikiem, do którego przybiegała, jak była dziewczynką. Nie, jednak wstanie. Najlepiej zamknie drzwi wejściowe na klucz i schowa go do kieszeni płaszcza. Matka, nawet jak będzie chciała wyjść, nie wydobędzie się z domu. Uf, już lepiej. Nie musi się już tak bać. Odpręż się teraz. Lekki wiatr, przymyka oczy. Pałacik był taki śliczny, okalał go gęsty, trochę zaniedbany, tajemniczy ogród. Ponad pięćdziesiąt lat temu tam chodziła, a całe

życie wracała we wspomnieniach. Szczególnie, gdy było źle. Jak teraz na przykład, kiedy ciągle jest zmęczona. Nie, jednak przez kilka chwil zanurzy się we wspomnieniach. Pobiega wśród kwiatów, będzie przedzierać się przez gąszcz. Tak kocha przyrodę. Trochę podróżowała, najczęściej z wycieczkami organizowanymi przez szkołę dla nauczycieli. To są właśnie te najpiękniejsze chwile w życiu. Poczucie szczęścia i wolności. W Amsterdamie to były ogrody. Niewiarygodne tulipanowe dywany. I zwiedzanie miasta stateczkiem po kanale. Jakie śliczne, malownicze kamienice. Rzeźbione budowle. Praga, Petersburg, Wiedeń. Wszędzie tam była, teraz, przymykając oczy, może odtworzyć te widoki.

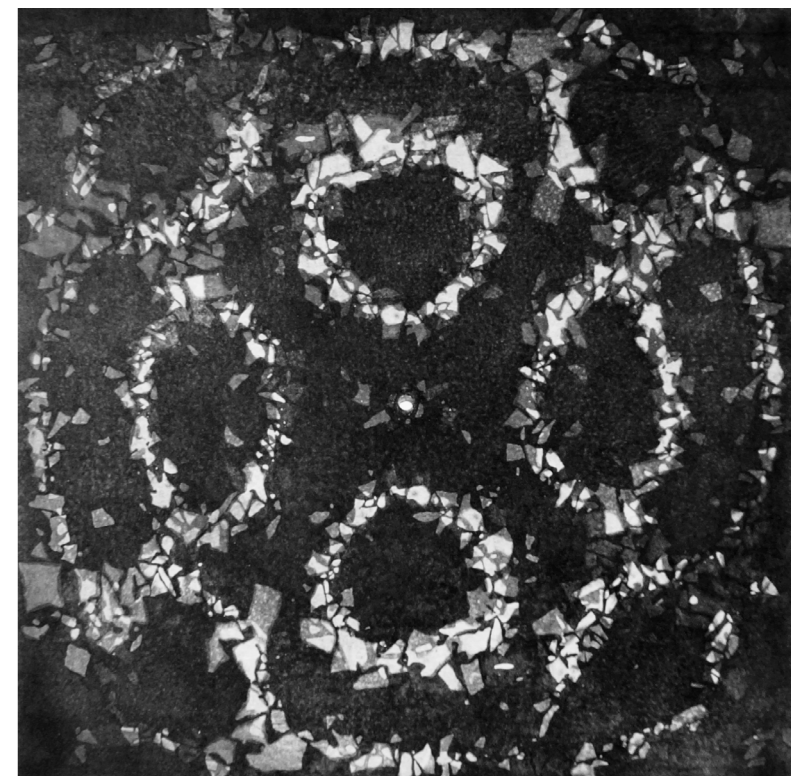
Usłyszała jakiś stukot za plecami. Chora na Alzaimera matka próbowała wyważyć drzwi.

– Nie dotykaj mnie, wiedzmo! – krzyczała do podchodzącej z rezygnacją córki. – Wiem, że chcesz mnie zabić, ale się nie dam, otwórzcie, ratujcie mnie ludzie, mordują! – Spokojnie, mam, wszystko dobrze, chodź, usiądziemy na balkonie, taka piękna wiosna. Popatrzmy na drzewa.

– Na balkon, wyskoczę z balkonu, uratuję się!

To nie jest dobry pomysł, pomyślała, lepiej zamknę i zatarasuję stołem, żeby nie otworzyła. Już tyle razy próbowała wyskoczyć przez okno. Z balkonu może być jej łatwiej. Szkoda. Tak tam było miło...

24 IV 2016 r.

Marcin Piotrowicz – *Tajemnice Rezonansu*, akwatynta, 50x50 cm, 2018

LEO BUTNARU

WIERSZE przełożył Krzysztof D. Szatrawski

W ISTOCIE – BAŁAGAN NA ŚWIECIE

1.
 Czasami myślałem,
 że mój dobry anioł stróż ponosi winę
 nawet za spóźnienia do pracy
 ale
 w końcu musiałem to zrozumieć
 w istocie
 związane to było z Godotem
 który
 nawet pomimo swojej nieodwracalnej nieobecności
 nie potrafi dostarczyć przekonujących dowodów
 że to nie on jest przyczyną
 bałaganu na świecie...

2.
 Wystarczająco długo
 czekałeś na przyjście apostoła
 który mógłby powiedzieć ci coś mądrego,
 odważnego
 o tej rzeczywistości tak podobnej
 do teatru absurdu.
 W końcu
 apostoł przyszedł
 i zapytał:
 Czekasz na Godota?

VII 2011 / 4 XI 2012

MIŁOŚĆ I PAMIĘĆ

Noc jest zakazem naszych twarzy.
 Noc jest rodzajem cenzury.
 Noc jest zakazem naszych twarzy.
 W pewnym momencie, całkowitym.

Powinniśmy mieć dobrą pamięć,
 abyśmy mogli kochać nawet wtedy
 kiedy się nie widzimy.

2 XI 2014

ZMIANA FORM

Nocą
 słysząc szelest. Słyszę go
 jako zmianę form. Tak
 w przestrzeni
 coś zmieniło kształt. Z nierównowagi
 wyłoniła się
 równowaga. Inaczej
 szelest jako dźwięk
 nie mógłby istnieć.

... a ten wiersz
 nieoczekiwany
 to nic innego, jak tylko
 zmiana form
 w twojej świadomości...

26 IX 2013

HAMLET I SER

Gdyby ten ser pochodził z Danii,
 mógłby mi przypomnieć o Hamlecie —
 bohaterze odgrywającym przedstawienia
 na skrzyżowaniach pytań.

Ale, niestety,
 jest to ser z Holandii
 i przypomina mi po prostu
 o mechanicznej pomarańczy...

XII 2013 / XI 2014

AZTEKOWIE

Aztekowie byli narodem, którego obywatele
 od małego do dużego
 bez zająknięcia
 wymawiali prawidłowo i wyraźnie
 Quetzalcōātl
 Albo
 Tlahuizcalpantecuhtli
 co znaczy – władca gwiazdy zarannej...

W istocie wydaje się że Tlahuizcalpantecuhtli
 było pierwszym słowem jakie w życiu wypowiadały azteckie niemowlęta...

A wymawiali je idealnie nawet starcy swymi bezzębnymi ustami
 którzy jak się powiada sami już byli
 w ustach śmierci
 w czasie kiedy pojawiał się dostojny Tlahuizcalpantecuhtli
 władca gwiazdy zarannej
 i retoryki...

16 X 2013

ŻADNYCH GWARANCJI

Jeśli umrzesz
 i narodzisz się na nowo
 nie ma gwarancji że będziesz umiał żyć bardziej po ludzku
 że zdołasz zrobić to co chciałeś zrobić
 w pierwszym życiu
 ale ci się nie udało
 że będziesz lepszy
 bardziej pobożny

że będziesz długowieczny
 ażeby
 odrodzić się wprost z życia
 i już nie umierać.

A szczytem wszystkiego
 drażniącą kulminacją

są książki jakiegoś Leo Butnaru
 którego z niezrozumiałych powodów
 wprowadzono do panteonu klasyków
 literatury rumuńskiej
 i okolic.

9 XI 2012

OKRES

w czasach wielkiego rozkwitu kaligrafii,
 malarstwa
 i literatury
 Chiny intensywnie pachniały atramentem.

Wówczas tworzył także mistrz Bo Tziu.
 Czasami zdarzało mu się złościć,
 że nie wychodziło dokładnie to, co zamierzał.

Wówczas na chwilę
 mistrz porzucał pisanie — odchodził od hieroglifów
 by się przekonać co i jak.

Czasami

w przystępie gniewu gniótt papier
 a litery z wyschniętego atramentu pękały
 cicho trzeszcząc
 łamały się jak liście dziwnej
 spopielonej rośliny...

12 II 2012

LEO BUTNARU (ur. 1949 r.) – poeta, prozaik, eseista i tłumacz. Zadebiutował w 1976 r. tomem wierszy *Skrzydło w świetle*. Opublikował ponad 60 książek. Laureat nagród literackich w Mołdawii i w Rumunii. W jego przekładach ukazały się książki A. Achmatowej, M. Cwietajewej, W. Majakowskiego, O. Mandelsztama, W. Chlebnikowa, J. Satunowskiego, G. Aigi i wielu innych, a także liczne antologie. Jest członkiem-założycielem PEN Center Mołdawii, członkiem zarządu Związku Pisarzy Rumunii oraz członkiem Związku Pisarzy XXI wieku.

HANNA BRAKONIECKA

Opowiadania cd

NICZEGO NIE ŻAŁUJE

Najgorsze jednak w tym wszystkim było, jak się zesrał w pampersa. W życiu nie czuł się tak upokorzony. Młoda dziewczyna dupę mu podcierała. A tam jego gówno.

Bo jakże to, człowiek jeszcze zupełnie na chodzie. Co chwilę jakaś chce, żeby się z nią ożenić, a tu taki wstyd. Żeby to jedna. Były dwie, a trzecia ciągle zachodziła. Ale może to i dobrze, że niejedna, jakoś ten wstyd się rozłożył. Tylko od tej pory boi się jeść, bo znów mu się to może przydarzyć. Już chyba z dziesięć kilo schudł. Niedługo będzie wyglądał jak Adonis. Niczego nie żałuje. A co?! Że teraz taki piękny się robi? No powiedzcie, czy wygląda na sześćdziesiąt pięć lat. A właśnie skończył.

Cholera jasna, o mało nie skończyłby i ze sobą. A lekarz mu mówił, żeby uważał, że w jego sytuacji nawet mały kieliszek może spowodować zawał. Że pić nie wolno. Nie wolno i już. No, ale to było siedem lat temu. Myślał, że się przedawniło. O jasny gwint, jakie to było fajne, tak się upić, jak za dawnych dobrych lat. Sąsiada, co odszedł do Pana Bóczka, trzeba było pożegnać. Przecież na stypie być nie mógł, bo był u siebie w Szkocji. Więc jak przyjechał, to jak tu nie wypić za zdrowie zmarłego. Więc wypili, a potem na drugi dzień jego urodziny, właśnie te sześćdziesiąte piąte. No, i odmówisz kolegom, jak cię tak witają? Życzenia składają, prezenty przynoszą w postaci miłych flaszeczek. Toż to chamstwo by było z jego strony. No to wypił. Tydzień świętowali. Aż się przewrócił nieprzytomny i dobrze, że był pan Józio, który zadzwonił po pogotowie, co go zabrano i zawał stwierdziło. Kochany Józek. Życie mu uratował, a on nawet odwdziżyć się nie będzie mógł. Bo nie będzie jednak pił. Okazało się, że lekarz siedem lat temu powiedział prawdę. I on przez pięć lat nie pił nic, ani kusztyczka. Nawet mówili, co z ciebie za alkoholik, co bez AA nie pije. A on, że sam, własną siłą woli się pozbył nałogu. Pracował jak wół, auta, komputera się dorobił. Hotelik, który prowadził z szefem, a potem już wspólnikiem, prosperował jak ta lala. Tylko pić nie wolno było. I nie pił, aż raz, tu w Polsce, kumpel serdeczny, którego spotkał po latach, się nie bój, tylko kieliszek, nic ci się nie stanie. No i się nie stało. Popili sobie nieźle, powspominali, nagadali o piłce, bo przecież niedawno mistrzostwa były, a tam w Szkocji Polaka nie było do pogadania o zwycięstwach i przegranych rodaków. I nie było nic.

W Szkocji ani kropelki, jak Boga kocha, ale jak znów przyjechał, to przecież spóźniona stypa i urodziny zaraz. Tylko niestety ta przepowiednia doktora się sprawdziła. A co tam, żyje. Co tu żałować. Upewnił się, że nie może pić. No i nie będzie, teraz już wie, że nie. Ale co ma żałować. Bez tego by nie wiedział, a tak wie. O!

27 VII 2016 r.

Marcin Piotrowicz – *Tajemnice Rezonansu*, akwatynta, 50x50 cm, 2018

A ANITA POCHLIPIJE

Rozmowa zaczyna się od rozpacz. Opowiada, pochlipując, że rodzice ją wyrzucili z domu, gdy się wykominał. Powiedział, że jest transwestytą i natychmiast musiał się wyprowadzić. Dopiero jak nabierze rozumu i wróci na słuszną drogę, pozwolą mu wrócić.

A on nie może nabrać rozumu, bo przecież jest w połowie dziewczyną. Nie wyrzuci jej z siebie. Wręcz przeciwnie, chce bardzo ją ujawniać. Tylko nie wyjdzie jako Anita na ulicę. Opowiadam mu w tym momencie o tej niezwyklej dziewczynie w Wiedniu, ubranej w cudną, ślubną suknię, która szła zamasztył krokiem przez pasaż, wzbudzając radośne zainteresowanie spacerowiczów. I wtedy zorientowałam się, że to wcale nie jest dziewczyna, tylko przystojny, roześmiany facet. Zachwyciłam się widokiem, myślałam o wolności ekspresji, szczęśliwym, otwartym życiu przy całkowitej aprobacie społecznej. Przynajmniej tam, na tym pasażu, tak było w europejskim Wiedniu.

Więc Anita się rozchlipuje jeszcze bardziej i mówi, jakby tak chciała, żeby ktoś ją kochał, tak słodko, czule. Żeby codziennie mogła budzić się koło ukochanego mężczyzny i żeby mogli wyjść na ulicę w jakimś Wiedniu czy innym światowym mieście, bo w Polsce to się nie da. Chciałaby pokazać się w nowej sukience, którą ostatnio kupiła i wypiąć malutkie piersi, jakie sobie sprawiła operacyjnie. Wtedy będzie wolna, na pewno.

Teraz też czasem tak się czuje. Trochę tak. Jak z obcymi facetami uprawia seks w klubie, gdzie zarabia na życie. Lubi tę pracę, bo wtedy nie udaje nikogo, kim nie jest, no i ma trochę bliskości. Nawet niektórzy mężczyźni, mówi to z niejaką dumą, co mają własne żony, twierdzą, że ona robi im o wiele lepiej. Świetna jest w seksie oralnym, naprawdę. Chętnie to robi, czuje się potrzebna. Ale na co dzień, w tym zwyczajnym życiu, to pochlipuje z tęsknoty za rodziną i jakimś prawdziwym ukochanym, którego jeszcze nie spotkała.

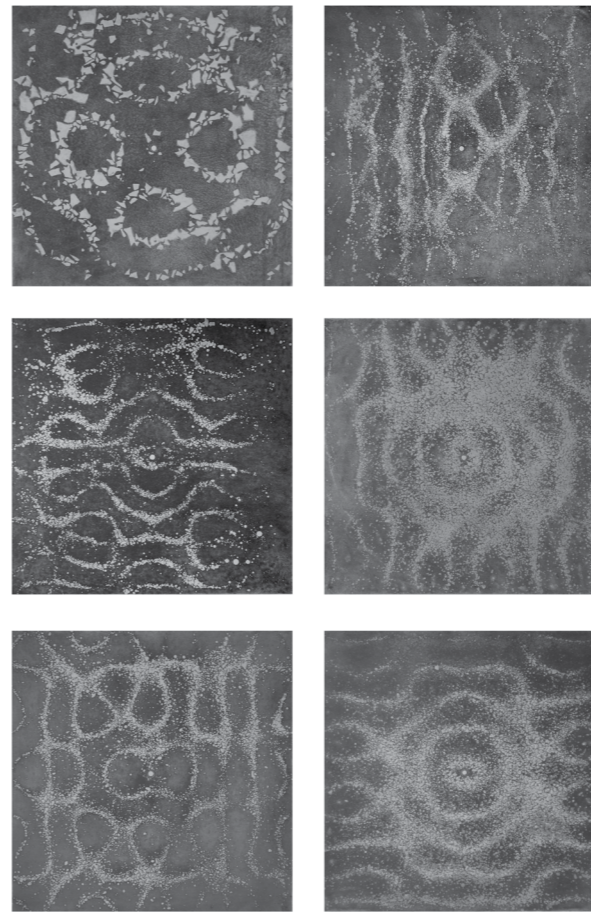
O, takie to życie i marzenia człowieka z pogranicza płci.

29 IV 2016 r.

MARCIN PIOTROWICZ – ur. w 1993 r. w Olsztynie. Absolwent studiów magisterskich na kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Aneks wykonał w pracowni grafiki warsztatowej dr hab. Małgorzaty Chomicz, dyplom – w pracowni struktur wizualnych dr Anny Drońskiej. Stypendysta Ministra Edukacji Narodowej, Rektora Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego oraz fundacji Lesława Pagi. Autor prac graficznych, malarskich i rzeźbiarskich nawiązujących do syntezy sztuk (muzycznej i plastycznej). Doktorant Wydziału Sztuki na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Od 2015 roku bierze udział w wystawach zbiorowych oraz organizuje prezentacje indywidualne. Jego prace zostały przyjęte do zbiorów „Nencki Art Collection” Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN w Warszawie.

Tenor w chórze Cantores Varmiensis przy Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej. Twórca i użytkownik repliki XIX-wiecznej lutni romantycznej. Autor instrumentalno-wokalnych recitali pieśni dawnych i współczesnych.

Laureat nagrody Talent Olsztyna nadanej przez Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka w Olsztynie.

Marcin Piotrowicz – *Tajemnice Rezonansu*, akwatynta, 6 grafik, 25x25 cm, 2018

W SAMY ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

IWONA ŁAZICKA-PAWLAK

Na krawędzi światów

Głowa.

Twarz. Oblicze. Czaszka. Portret. Postać. Wizerunek. Ikona. Emotikona. Oto główny artystyczny temat ostatnich prac prof. Wiesława Bieńkuńskiego. Czym są w swej istocie prace artysty? Z pewnością bardzo udaną próbą połączenia współczesnej grafiki z tradycją szczególnych dzieł sztuki, jakimi są ikony. Połączenie to dotyczy zarówno sfery estetyki, jak i duchowości. Statyczne głowy są ostro wycięte z malowanego płasko jednolitego tła. Płaszczyzna koloru otacza te głowy, stanowiąc rodzaj ściany, granicy pomiędzy światami. Ale obraz-ikona jest łącznikiem między nimi – tym i tamtym, prawdziwym i fantastycznym, realnym i metafizycznym, zewnętrznym i wewnętrznym. Na ciemnym tle wiele się dzieje, formalnie i symbolicznie; dostrzec można zarys bądź wyobrażenie różnorodnych twarzy i emocji.

Emotikony odsyłają nas równocześnie do współczesności i do świata wirtualnego. To komunikacja uproszczona do maksimum. Informacyjne komunikatory i obrazki wyrażające nasze najrozmaitsze emocje – od radości i smutku poprzez strach, zwątpienie aż do samotności i przerażenia. Grafiki Bieńkuńskiego to obrazy emocji wyniesione do poziomu sztuki czystej i prostej, ale nie uproszczonej, jak w przypadku grafiki komputerowej.

Brama.

Ostre wycięcie może przywołać także na myśl bramę, wyjście w płasko kładziony kolor – piękny i kuszący, ale jednak płaski, stanowiący ograniczenie, być może służący do podkreślenia głębi tego, co w sobie zawiera, co prowadzi dalej, w coś poza światem, jednym, drugim, trzecim... . Idziemy ku wieczności czy otchłani? Do światła czy ciemności? Niczego nie możemy być pewni, ale intuicyjnie odczuwamy prawdę o nas zamkniętą/zakłętą w formie i kolorze. Choć może zdarzyć się i tak, że podobnie jak głowy z Wyspy Wielkanocnej grafiki Wiesława Bieńkuńskiego będą dla nas przede wszystkim tajemnicą. Obrazem egzystencjalnego dramatu człowieka.

Kogo przedstawiają portrety pozbawione indywidualnych cech, uniemożliwiających jakąkolwiek identyfikację? Nie widzimy tam siebie, ale siebie rozpoznajemy. Ujęcie abstrakcyjne uniwersalizuje temat. Powoduje, że artysta tworzy portret niczyj, stwarzając jednocześnie człowieka portretu zbiorowego. Każda z grafik może okazać się naszym własnym obrazem, jeżeli uda się nam w niego wniknąć, przejść bramą koloru, ustawioną przez artystę na krawędzi światów, dojść do własnych emocji, kierując się wspaniałym, artystycznym drogowskazem Wiesława Bieńkuńskiego. Należy tylko zatrzymać się i patrzeć. Patrzeć uważnie. Na grafiki. I w siebie.

To nas portretuje artysta. To nas sakralizuje.

WIESŁAW BIENKUNSKI
Emotikony



z cyklu „Emotikony” Emotikona (5), 2018



z cyklu „Emotikony” Emotikona (1), 2018

ANNA M. MAJEWSKA red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Cztery maszyny

Od urodzenia mieszkałam w nowych dzielnicach Olsztyna. Najpierw na ul. Kaliningradzkiej, później na Boenigka. Jako nastolatka zainteresowałam się historią sztuki, chodziłam na wykłady do Pałacu Młodzieży, do pani Danusi Turejko. Od kiedy ukształtowała się moja świadomość, już zawsze chciałam zamieszkać w czymś z historią, z duszą, dużym metrażem i dużą wysokością pomieszczeń – w zabytku.

Długo szukałam dobrej oferty. Miałam duże wymagania co do obiektu. Podstawą był wpis do rejestru zabytków, zachowana elewacja z dekoracjami (nie tak, jak w budynku naprzeciwko naszej kamienicy, całkowicie pozbawiona detalu architektonicznego). Wiadomo, ważna była cena i jak najwięcej zachowanych elementów – stolarka drzwiowa, podłogi itp. Tak naprawdę wchodziły w rachubę trzy ulice: Warmińska, Dąbrowszczaków i Mickiewicza, z naciskiem na Dąbrowszczaków. Jest to piękna ulica i jeśli dojdzie do skutku śródmiejska strategia, to ma ona szansę zostać wolnym od ruchu kołowego deptakiem, połączonym z Parkiem Centralnym. Stanowiłaby wtedy taki salon miasta. Co ważne, jest tu bardzo cicho, lokatorzy to w większości instytucje.

Budowniczym i właścicielem naszej kamienicy był August Hossman. Powstała około 1880 roku. Przy naszej ulicy, która wówczas nazywała się Kaiserstrasse, miał on cztery kamienice czynszowe i jedną, w której mieszkał. Hossman znany jest z realizacji rozbudowy szpitala miejskiego oraz projektu domu Kopernika (dzisiejszy pałac biskupi). W naszej kamienicy od lat 20. XX wieku (od kiedy są o niej wzmianki) była apteka Copernikus Apotheke, taki historycznie trwały element.

Natomiast nasze mieszkanie, najprawdopodobniej, wynajmował Bruno Schulz, niższej rangi urzędnik magistracki. Niższej, bo jest ono na trzeciej kondygnacji. Lepiej uposażeni zajmowali zazwyczaj dolne piętra, bardziej reprezentacyjne. Ale i tak niższej rangi urzędnika stać było na wynajmowanie mieszkania, które przed podziałem miało około 220 metrów i zajmowało całą kondygnację kamienicy.

W 2011 roku kupiliśmy mieszkanie na wymarzonej przeze mnie Dąbrowszczaków, a w 2018 wprowadziliśmy się. Dokładnie 13 maja z czarną kotką Mrulką (Behemotką), czyli definitywnie i ostatecznie zamieszkaliśmy w śródmieściu.

Akcję „Zamieszkanie na Dąbrowszczaków” możemy podzielić na trzy etapy: adaptacja, wykańczanie i wyposażanie. Sam remont adaptacyjny może nie trwał aż tak długo, bo dwa lata. Przy remoncie pomagali nam nasi znajomi, oddali nam ciało i duszę. Później zaczęła się zabawa przy wykończeniu i robienie mebli, które uzbieraliśmy i chcieliśmy naprawiać tu, a nie po kątach.

Nasze mieszkanie, które ma około 100 m², to tak zwana „mniejsza połowa” kondygnacji pierwotnego ponadwustumetrowego apartamentu. Drugą część obecnie zajmuje stowarzyszenie, które wynajmuje od miasta ten lokal. Podział metrażu nastąpił za komuny. Zamurowano jedne drzwi, drugie zaś zabito płytą paździerzową. Poza tym nie było tu wtórnych podziałów czy ścian działowych. My nie zmienialiśmy układu pomieszczeń, oprócz łazienki, którą powiększyliśmy. Trzeba pamiętać,

że pierwotnie, najczęściej, nie było jej w takich kamienicach. Współcześnie ktoś zrobił małą łazieneczkę, a obok mikropokój. My połączyliśmy oba pomieszczenia i mamy pokój kąpielowy z wanną na środku.

Układ mieszkania – przez to, że mamy tylko część pierwotnego lokalu – jest dość nietypowy. Stowarzyszeniu przypadło wejście główne. Do naszego mieszkania wchodzi się schodami kuchennymi, wąskimi i stromymi, trochę lepszymi niż drabina. Wchodzimy do niego od tzw. służbówki, najpierw do niedużego pomieszczenia, tam jest nasz przedpokój muzyczny. Tu trzymamy m.in. płyty winylowe i gitary. Jest tam jedyny w mieszkaniu piec kaflowy, wstawiony przez naszych poprzedników. Przy przedpokoju muzycznym zrobiliśmy garderobę, zaadaptowaną z dawnej spizarni. Jest to pomieszczenie chłodne, bez ogrzewania, sąsiadujące z klatką schodową. Miało wtórne okienko na schody, przez które poprzednia właścicielka podglądała, kto do niej idzie.

Z przedpokoju muzycznego odchodzi korytarzyk, z niego dwa wejścia do naszej łazienki. Zostawiliśmy je, bo oba wejścia miały oryginalny, historyczny wygląd. Korytarzyk wiedzie do kuchnio-jadalnio-pracowni. Mijamy drzwi wiszące na ścianie, które są drzwiami do domu rodzinnego mojego ojca w Srokowie. Gdy sprzedawaliśmy dom, pojechaliśmy tam po meble, które zostały jeszcze do zabrania, a że nowi właściciele chcieli usunąć stare drzwi, to wzięłam je wraz z oryginalną tabliczką z nazwiskiem „E.H.F. Majewscy”. Drzwi te wyglądają trochę jak drzwi do saloonu, są zdecydowanie mniejsze niż otwór w naszym obecnym mieszkaniu. Tamte mają wymiar ludzki, te w kamienicy są przeskalowane. Drzwi ręcznie oszlifowaliśmy, uzupełniliśmy ubytki oryginalnymi częściami. Zamontowaliśmy w nich historyczną klamkę, którą znaleźliśmy przy ulicy Mazurskiej (ktoś wywalil stare drzwi).

Kuchnia u poprzednich właścicieli mieściła się w naszym przedpokoju muzycznym, tam mogła też być i pierwotnie, bo służba zajmowała się sprawami kuchennymi. Na salony wjeżdżano z gotowymi potrawami. My przenieśliśmy kuchnię do jednego z dwóch pokoi. Zrobiliśmy kuchnio-jadalnio-pracownię, która ma okno z widokiem na neogotycki kościół. Do drugiego pokoju wchodzi się szerokim wejściem z pięknymi, dwuskrzydłowymi, wysokimi na 2,40 metra drzwiami. Drzwi są stale otwarte i oba pokoje stanowią prawie jedną przestrzeń.

Podczas remontu odstoniliśmy cegły w salonie, przedpokoju muzycznym i w garderobie. Ale gdy się buduje „pod tynk”, to zazwyczaj nie ma dbałości o układ cegieł, wykorzystuje się właściwie każdy kawałek, bo potem tynk to przystania. Tak jest i w naszej kamienicy. Jak skuwaliśmy tynk, to te mankamenty wyszły. Cegły w złym stanie wymienialiśmy na całe, pozyskane z rozbiórek. Później ręcznie szlifowaliśmy osetkami do noży uzupełnienia, były pochłapane zaprawą, nierówne. W garderobie po usunięciu tynku uzupełniliśmy cegły i cieszymy się piękną ścianą ryglową.

Otwór drzwiowy, który prowadzi do naszych sąsiadów, zaadaptowaliśmy i zrobiliśmy w powstałej drewnianej wnęce biblioteczkę. Książki wytłumiają dźwięki dość skutecznie.

Okna wymieniliśmy, wstawiliśmy nowe na wzór historyczny z odtworzeniem detalu. Gdy w pokoju zdzieraliśmy kolejne warstwy tapet i farby, odstoniliśmy pod oknami wnęki i pojemniczki na skapującą wodę, skraplającą się ze skrzynkowych okien. W starych parapetach były rowki z dziurką na środku, przez którą właśnie do takich pojemniczków skapywała woda. Pojemniczki odczyściliśmy i na powrót zamontowaliśmy w ścianie, ale już jako dekorację pomieszczenia.

Jesteśmy pasjonatami starych przedmiotów. Mamy kolekcję tekturowych walizek, które służą nam w garderobie i w przedpokoju. Dwa telefony z czasów komuny zdobią salon, trzeci, najstarszy, zabraliśmy ze Srokowa, jest na korbkę, łączyło się przez niego z centralą.

Stare przedmioty znajdują u nas swoje miejsce. Wiele mebli to w dużym stopniu były destrukty, powyzerane przez drewno i metalozerców.

Łazienka. Tam powiesiliśmy lampę z warszawskiego tramwaju. Lustro zamontowaliśmy w ramie okiennej z koszar w Ostródzie, które usunęto i my je zgarnęliśmy. Drugie lustro umieścimy w drzwiach znalezionych pod śmietnikiem na Dąbrowszczaków. W kredensie łazienkowym elementy dorobione są tak, aby pasowały do szuflady, którą znaleźliśmy pod śmietnikiem na Narutowicza. Błaty w kredensie zrobione są z dech stanowiących półki ze spizarni. Szafka pod umywalkę ma nogi od starej maszyny do szycia, w mieszkaniu mamy jeszcze kilka maszyn wykorzystanych w różny sposób – Singery i Victorie. Część rzeczy kupujemy oczywiście przez internet.

W kuchnio-jadalnio-pracowni stoją dwie lodówki. Jedna współczesna, druga z początku XX w. To jest prawdziwa lodówka na lód. Zanim zaczęto używać lodówek na prąd, budowano lodownie ziemianki, w których była stała temperatura przez cały rok i zimą gromadzono tam ze zbiorników wodnych bryły lodu. Latem rozbijano je i, już bardziej współcześnie, wrzucano do takiej lodóweczki jak nasza. Zanim lód się stopił, chłodził wyizolowaną i od wewnątrz pokrytą blachą ocynkowaną komorę, gdzie trzymano łatwo psujące się jedzenie. Oczywiście naszą lodówkę odnawialiśmy. Zdjęliśmy wtórne farby i powoskowaliśmy drewno. Lodówka jest zamykana na klucz, dziś też czasami by się taki przydał. Elementem, który znalazł swoje miejsce w tym pomieszczeniu, jest spizarka, która była wmurowana w ścianę wyposażeniem w Srokowie. Zachowaliśmy z niej drzwi frontowe z metalowymi wywietrznikami, które wyglądają trochę jak durszlaki. Pozwały one na cyrkulację powietrza wewnątrz szafek. Resztę dorobiliśmy, tak żeby powstał dekoracyjny mebel. Dodaliśmy uchwyty i zamknięcia, tzw. obartle, które są przeniesione ze starych okien z tego mieszkania.

W rogu pomieszczenia stoi skrzynia z pałacu w Warkalążach, która, gdyby nie my, zgniłaby w tamtejszej piwnicy. Odkupiliśmy ją za flaszkę i papierosy. Uzupełniliśmy brakujące dno i doprowadziliśmy do dawnej świetności. W części, gdzie pracuję, mam biurko, którego blat komputerowo-biurowy ma prawie trzy metry długości i wspiera się na maszynie do szycia ze Srokowa oraz na tralkach ze spalonego pałacu w Koszelewach, które ocalały ze zgliszczy. Przy stole jadalnym stoi „tutejszy” stółek, wykorzystywany podczas remontu do wszystkiego. Jest pochłapany farbą, na razie nie ma na niego pomysłu, ale pewnie też zostanie oszlifowany i zachowany, bo jest solidny. Z maszyny Victoria zrobiony jest stolik pod oknem.

W salonie mamy kąt „fotograficzny”. Tam stoi kolejna maszyna do szycia, tym razem z domu ze strony mamy, z Mazowsza. Tu jest nasza kolekcja związana z fotografią, którą się pasjonujemy. Mamy aparat „meblowy” Globica, format mniejszy 13x18 (niestety bez statywu) oraz Globicę



Fot. Anna M. Majewska

dwójkę 18x24 – aparat fotograficzny stosowany po wojnie w zakładach fotograficznych. Posiadamy zbiór różnych gadżetów fotograficznych oraz sporo samych aparatów, którymi posługiwaliśmy się i Kazimierz, i ja. Mamy soczewki kondensorowe do powiększalników, na ścianie wisi czołówka od aparatu do reprodukcji kartograficznych, która służyła Kazimierzowi do pracy.

Przeprowadzkę na Dąbrowszczaków przekładaliśmy, bo ciągle coś jeszcze robiliśmy. Mogliśmy wprowadzić się rok temu, ale ciągle było coś. Przeprowadzka musiała być już z kotem, więc nie mogły tu być robione żadne pyłące prace, bo, wiadomo, kot roznosiłby wszystko. Ostatnim elementem, który zdecydował o zakończeniu prac, był zakup narożnej, czerwonej kanapy.

W zasadzie też od roku nie wiemy, na jakiej ulicy na dobre zamieszkaliśmy. Decyzją wojewody zmieniono nazwę na Erwina Kruka. Ale miasto się odwołało do sądu administracyjnego, sąd uchylił decyzję wojewody, po czym wojewoda się odwołał do NSA i sprawa jest w toku. Zobaczymy, co będzie. Tak naprawdę chciałam, żeby nasza ulica nosiła imię Ericha Mendelsohna (jak już trzeba byłoby zmienić jej nazwę). Wysyłałam nawet pisma z tą propozycją do wojewody. Zachęcałam różne środowiska, żeby popierały tę nazwę. Święta Warmia i Borussia wystąpiły też z tą inicjatywą. Tak ważny człowiek, który urodził się i wychował w Olsztynie, architekt o światowej sławie powinien mieć swoją ulicę w śródmieściu.

ANNA OSOWSKA

Nie bój się lustra – 35 lat Grupy Literackiej Barcja (1983-2018)

Jaki jest dzisiejszy poeta? Głowa w chmurach to jego znak rozpoznawczy? Te i inne pytania natrętnie zajmowały moje myśli podczas naszej pierwszej rozmowy z Jerzym Sałatą, gdy zadzwonił z zaproszeniem do Piwnicy Artystycznej. Zaskoczyło mnie to. Prezes Grupy Literackiej, jej założyciel, poeta. To ci niespodzianka. Akurat popełniłam swoją pierwszą powieść *W cieniu papierówki*, lecz nie czułam się pisarką, raczej lekarką, która napisała książkę. Jerzy, zapraszając mnie na spotkanie bartoszyckiej Grupy Literackiej, powołał się na zainteresowanie Jacka Rojka, prezesa Związku Literatów Polskich w Olsztynie (1939-2018), moją powieścią. Nawet jeśli poeci mają głowę w chmurach – analizowałam w myślach – to ich nogi muszą stąpać po ziemi, z poezji przecież nie da się utrzymać. Mimo ciekawości niezręcznie było o to pytać. Barcję kojarzyłam głównie z osobą Teresy Bratek (1934-2013). Słyszałam o rokrocznie ogłaszanym Konkursie Poetyckim, którego początki sięgają 1984 roku, a który w 1985 nazwany został imieniem Leonarda Turkowskiego (1914-1985). Niedawno Marek Turkowski z okazji 104. rocznicy urodzin swego wybitnego ojca przypomniał wiersz *Genius loci*, napisany przez panią Teresę Bratek z okazji 50-lecia pracy twórczej Leonarda.

Teresa Bratek GENIUS LOCI

Jesteś niewinny jak dziecko,
sądzisz, że nic Ci nie zagraża,
a genius loci zdradziecko
kreuje Cię na pisarza.

Jako pisarz wciąż się pocisz,
coś się ująć zrećnie zdarza...
To uroczy genius loci
natchnieniami Cię poraża.

Na imieninach u cioci
siadasz obok aptekarza.
Myśl w obłokach – genius loci,
a aptekarz się obraża!

Ujrzyś gdzieś kupę staroci,
twórczy nastrój się wytwarza
i kapryśny genius loci
wnet Cię na kpiny naraża.

Bo nie jesteś już normalny.
Palcami Cię wytkną wszędzie,
chyba że genius fatalny
napastować Cię nie będzie.

Opuści Cię w jakiejś chwili,
nic już mądrego nie głosisz,
ludzie by Ci wybaczyli,
lecz zemści się genius loci.

Chyba coś w tym jest. Poeta „odstaje” od innych. Pewnie nie raz przekonała się o tym i Teresa Bratek, stąd ten wiersz. Ta wybitna barcjanka była polonistką, cenioną poetką, pisała kolędy, teksty piosenek, publikowała jako dziennikarka, a od 1954 roku figurowała jako mieszkanka Bartoszczyk. Spod jej pióra wyszło „Siedem bartoszyckich legend”. Na wniosek Barcjanki jedna z bartoszyckich ulic nosi jej imię. Wiersze bartoszyckiej bohemy regularnie ukazywały się w „Wiadomościach Bartoszyckich” i informatorach wydawanych przez Zbyszka Obłamskiego, sympatyka Barcji. Z tego okresu (lata 90.) pamiętam utwory Jerzego Sałaty, Celiny Wiszniewskiej, Teresy Barszcz i Mirka Soliwody – kolegi z liceum. Potem zaczęły ukazywać się „Zeszyty Literackie” (2006-2010), to już za sprawą prezesa Barcji, którym od samego początku i nieprzerwanie jest, porównywanym do Michała Kajki, Jerzy Sałata. Bo też cieśla i to samo umiłowanie pszenicznych krajobrazów. Tłumaczyłoby to tytuły kilku z ośmiu wydanych tomików: *Zboża urodziwe* (1982), *Z opłotków wsi* (1998), *Żniwowisko* (2007). Zawsze pozostawał wierny swoim zasadom. Wyraził to w tytułowym wierszu almanachu *Jestem jaki jestem*, wydanego z okazji 40-lecia pracy twórczej.

Dopiero podczas kolejnych spotkań grupy, a to w restauracji Stodoła, a to w Ardi, dane mi było usłyszeć, że Jerzy Sałata debiutował w 1975 roku wierszem *Jesienny spacer*, a grupę założyło w 1983 roku czworo młodych pióro: Jerzy Sałata,

Teresa Bratek, Zygmunt Kornowski i Romuald Moszoro. Poetów „przytulił” do siebie Bartoszycki Dom Kultury z ówczesną dyrektorką Janiną Jocek, która jak nikt rozumiała artystyczne dusze. Potem dołączyli do nich Bożena Kalisz, Zbigniew Nadolny, Robert Lesiński, Andrzej Maciejewski, Alina Napiórkowska, Jolanta Solecka, Ryszard Kozłowski oraz Jan Bachar, Iza Baczeńska, Ewa Bucąta, Urszula Drogomir, Robert Koniuszy, Mirosław Kujawski, Justyna Ławrynkiewicz, Wiesław Mańko, Maria Marczak, Arkadiusz Monkiewicz, Piotr Monkiewicz, Jan Orlicki.

Zapytałam Jerzego, jak wyglądały kiedyś barcyjne spotkania. Odpowiedział z charakterystyczną dla siebie swadą: „Przy herbacie, ciastkach w BDK-u, przeważnie w sali instruktorów czytaliśmy swoje wiersze, a później omawialiśmy je. Zawsze z ramienia BDK-u był nasz opiekun Adam Malinowski, a później jego żona Anna Malinowska. A Teresa Bratek była skarbnikiem i zastępcą przewodniczącego, zbierała co miesiąc od nas po ‘rybaku’, czyli po 5 zł. Czasami bywał ktoś z zewnątrz, najczęściej z Olsztyna, np. Józef Jacek Rojek albo Tadeusz Matulewicz. Była też selekcja wierszy, które miały być wysłane na różnorodne konkursy, nawet poza nasze województwo albo do różnorodnych czasopism. I tak leciały nam kolejne lata, raz dobre, a niektóre gorsze, tak jak to bywa w życiu codziennym”.

Obecni liderzy to: prezes Jerzy Sałata, Aneta Przybytek, Arkadiusz Monkiewicz, Elżbieta Pilipiuk, Teresa Barszcz, Anna Osowska, Witold Kiejrys, Maria Duchnik, Dariusz Dopierała, Małgorzata Mycio (w lipcu 2018 zawiesiła członkostwo w grupie). Do grupy należą również: Ewelina Mścisz, Justyna Ławrynkiewicz, Zofia Puszkarov, Teresa Szostakowska, Rafał Gmurczyk.

Dzisiejsza Barcja nie ma swojej siedziby. Jak na literatów przystało spotykamy się w różnych miejscach, głównie w restauracjach. Muszą spełniać jeden warunek: brak barier architektonicznych, aby Arek Monkiewicz mógł do nas dotrzeć. To nasz poeta-sportowiec, laureat konkursu Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”, autor tomiku *Jestem stąd*. Wiersze o poszczególnych miesiącach są zabawne, błyskotliwe i, co najistotniejsze, podobają się nawet tym, którym z poezją nie jest po drodze. Sport jest drugą pasją Arka. Poeta osiąga sukcesy nie tylko w konkursach poetyckich, lecz także ścigając się na trójkołowym rowerze typu handbike. Znakomity jest na różnych dystansach, tak jak i w wierszach, niezależnie od ich długości.

Różnimy się, i to bardzo, wiekiem, doświadczeniem, zawodem, zaangażowaniem politycznym i społecznym. Nasze spotkania są przez to często bardzo burzliwe.



I jak to poeci, drażliwi na swoim punkcie, niekiedy niczym koty na pewien czas wybierają własną drogę.

Przełomowe znaczenie dla naszej działalności miał projekt „Poeta w porę odkryty” zorganizowany w 2015 r. w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 im. Elizy Orzeszkowej w Bartoszczykach. Spotykaliśmy się z młodzieżą i opowiadaliśmy im o swojej twórczości. Nastąpiło swoiste „wiosenne przebudzenie Barcji”. Od tamtej pory datujemy rozkwit Stowarzyszenia.

Tradycją są comiesięczne spotkania w czwartek po połowie każdego miesiąca. Na początku łącznikiem była miłość do literatury, poezja tworzona przez Barcjanki i proza życia, również ta opisana przez Witka Kiejrysa w powieści *Zielony karp i okolica* oraz w mojej drugiej książce *Ucieczka*. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się, staliśmy się dla siebie ważni. Organizujemy spotkania autorskie, warsztaty z wybitnymi literatami, uczestniczymy w ważnych wydarzeniach miasta i powiatu. Zdarzają się też wyjątkowo wzruszające chwile, takie jak chociażby ta, gdy Barcjanki czekali na mnie z wigilią, bo musiały pojechać do pacjenta z późną wizytą. Wigilijny barszcz, chociaż całkiem wystygł, smakował jak nigdy dotąd.

Niektórzy z nas przemierzali wiele dróg, nim trafili do Barcji. Witek Kiejrys zamieszkał w Bartoszczykach zaledwie przed kilkoma laty. Z uwagą słuchamy jego strof dedykowanych ukochanej Maryni czy mamie, z uznaniem zaglądamy do jego ostatniego zbioru wierszy *Elis*. Jego rozmowy z ojcem zaś, z debiutanckiej powieści, zmuszą do refleksji każdego. Chętnie wracam do obrazów namalowanych słowem przez Witka i czekam na jego kolejną powieść.

Jerzy Sałata jest cieślą, więc kiedyś zapisywał swoje utwory na kawałku drewna, niekiedy na worku po cementzie. Wielu z nas, gdy wena dopadnie, prędzej chwyci za skrawek gazety niż laptopa. Ja mam zawsze pod ręką recepty. Małgosia Mycio przerywa podróż autem, by na poboczu w notesiku zapisać niesforne strofy, niekiedy bardzo osobiste. Wciąż marzy o własnym tomiku. Aneta Przybytek, poetka

porównywana do Haliny Poświatowskiej, mitosińiczka gór, zapisuje wiersze w telefonie komórkowym, podobnie jak Majka Duchnik, poetka, malarka, harcerka. I Anecie, i Majce, co przyznają lekko zawstydzone, zdarza się dość prozaicznie zapisać strofy na sklepowych paragonach, które nie zawsze dają się potem odnaleźć. Za to Teresa Barszcz-Ward, poetka, pisarka, malarka, społeczniczka, idzie z duchem czasu. Swoje życie w Anglii opisała na blogu *Tereska Nie Placz*, a niebawem jej wieczór autorski, trwa korekta prozy. Chętnie opowiada, jak kiedyś ćwiczyli warsztat przez wspólne układanie jednego długiego wiersza. Równie wszechstronna jest Elżbieta Pilipiuk. Już jako emerytka odkryła swoje talenty. Z sukcesem maluje, pisze wiersze i śpiewa w chórze. Jest bardzo zaangażowana religijnie, więc tematy duchowe często goszczą w jej poezji. Dobrym duchem Barcji jest Dariusz Dopierała. On stworzył stronę internetową grupy i nasze logo. Nie epatuje swoją twórczością. Woli pisać w samotności.

10 października 2018 r. mija 35 lat od powołania Grupy Literackiej Barcja. Wyjątkowe jest, że grupa istnieje już od tylu lat i mimo wieku ma się całkiem dobrze. W przygotowaniach do uroczystej gali towarzyszy nam wiersz Teresy Bratek z 2007 r. *Nie bój się lustra*.

Od mojej pierwszej rozmowy z Jerzym Sałatą minęły 4 lata. Zdążyłam lepiej poznać Barcjian. Doceniam ich wrażliwość. Lubię, gdy żartują, jak to niebawem i ja nauczę się pisać wiersze. Za każdym razem, gdy ich spotykam, z niebywałym podziwem

obserwuję, jak potrafią przytrzymać się ziemi, by ogarnąć codzienność, mimo że locus w najbardziej nieoczekiwanym momencie porывa ich myśli ku obłokom.

Teresa Bratek
NIE BÓJ SIĘ LUSTRA

Nie bój się lustra
Gdy zmarszczek przybywa
Zmarszczek dodaje
Mina nieszczęśliwa
Więc się uśmiechaj
Na przekór przeszkodom
Jesteś szczęściarzem
Już nie umrzesz młodo

ANNA OSOWSKA – lekarka, felietonistka, autorka powieści *W cieniu papierówki i Ucieczka*; w Barcji od 2014 r.

Fot. z archiwum Grupy Literackiej Barcja



JUSTYNA ARTYM

PoGranica

Za nami kolejny WAMA Film Festival, wyczekiwane co roku święto olsztyńskich kinomaniaków. Tym razem, zamiast relacji z całości, pragnę skupić się na jednym filmie, „Granicy” w reżyserii Alego Abbasy.

Nad tym, czy olsztyńska publiczność jest gotowa na takie uderzenie, toczyła się emocjonalna dyskusja między Piotrem Czerkawskim a Marcinem Kotem Bastkowskim. Ostatecznie zapadła decyzja, żeby film pokazać. Bogu dzięki. Został przyjęty świetnie, publiczność komentowała go między sobą jeszcze przez kilka kolejnych dni.

Piotr Czerkawski przedstawił go jako „najdziwniejszy film festiwalu”. Czy rzeczywiście? Widziałam mnóstwo innych „dziwniejszych” filmów, których świat był obcy, odległy, nie mogłam się w nim zadomowić. Tutaj, mimo zdecydowanego przekraczania tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, świat jest spójny, konsekwentny, oparty na solidnych podstawach. Wierzmy w niego. Ta historia się broni, jest emocjonalnie prawdziwa. Wszystko jest na swoim miejscu, umotywowane i uzasadnione.

Zatem jakie granice przekracza ta przygoda?

Zacznę przewrotnie – granice tak zwanego dobrego smaku. Oglądamy brzydotę wspaniałą, bezwstydną, totalną. Zaiste, wyzwalające doświadczenie. Twarze bohaterów przyciągają wzrok, zostają w pamięci. Ich fascynujące, niemal zwierzęce rysy, ich ciała toporne, kanciaste, nieporadne, przebrane w niewygodne, za ciasne ludzkie kostiumy, najpiękniejsze nago, w otoczeniu natury. To nie żadna „brzydula Betty”, której „brzydota” polega na tym, że ładna dziewczyna nosi okulary i aparat na zębach, ale nie uraża gustów estetycznych widza.

Dalej, płynnie zacierają się granice między filmowymi gatunkami. Przeważnie mamy albo film realistyczny, albo fantastyczny, gdzie nawet elementy realistyczne są rodem z bajki, umowne, podkoloryzowane. Patrzymy wtedy na ten świat „realny” jak na fasadę fantastycznej rzeczywistości, jedynej prawdziwej. Tymczasem tutaj mamy „innych” totalnie obecnych w naszym świecie, wrośniętych w niego. Rzeczywistość fantastyczna, mityczna została sfotografowana surowo, jak dokument, bez żadnych fajerwerków operatorskich. Dzięki temu uświadamiamy sobie, że mówimy o naszym świecie.

Opowieść zaczyna się w momencie, kiedy tajemniczy mężczyzna przekracza granicę, której pilnuje celniczka Tina. Ten motyw powtórzy się potem w sensie metaforycznym, stawiając pytania o to, co jest dla nas granicą, której nie pozwolimy przekraczać, jak daleko możemy posunąć się dla kogoś, kogo kochamy – i kiedy po prostu trzeba się zatrzymać.

Jest to również granica państwa, zza której przychodzi „inny”. Reżyser, który sam należy do mniejszości irańskiej żyjącej w Szwecji, pozwala nam spojrzeć na zderzenie kultur z zastanawiającej perspektywy, po raz kolejny przekraczając schematy.

Nie jest niczym nowym motyw wykluczenia pokazany poprzez baśniową postać, obarczoną stereotypami i uprzedzeniami. Wszyscy znamy przecież ogra Shreka. Tylko że Shrek, jak w większości filmów, których protagonistą jest osoba wykluczona, kradnie nasze serca, jest jednoznacznie pozytywny. Ta opowieść idzie o krok dalej, jest niejednoznaczna – jak samo życie. W osobach Tiny i Vore, tajemniczego mężczyzny, widzimy dwie różne postawy „innych”. Ona w mundurze tego społeczeństwa, w roli, on w skórzanej kurtce włóczęgi. Jak yin i yang, czarne i białe, noc i dzień, razem tworzą równowagę i prawdziwy obraz rzeczywistości. I każde z nich ma trochę racji.

Bo które z nich wybrało lepszą drogę, w pełni zasymilowana Tina czy Vore, za wszelką cenę broniący swej tożsamości? Które okrucieństwo jest gorsze: okrucieństwo Vore, który mści się za nienawiść, jakiej doświadczała jego mniejszość, czy okrucieństwo społeczeństwa, które dosłownie i w przenośni okalecza „innego”, każe mu się przystosować, odziera z kultury i historii, daje jasny przekaz: możesz zostać pod warunkiem, że będziesz udawać takiego jak my? Film nie daje odpowiedzi, za to stawia pytania i zmusza do myślenia.

Czasem „inny” jest jak Tina: empatyczny, broni wartości swojego społeczeństwa mimo zła, jakiego od niego doznał. Być może dlatego, że, jak nasza bohaterka, miał szczęście wychować się w kochającej, akceptującej rodzinie. Czasem jednak zranienie spowodowane krzywdą jest tak głębokie, że „inny” wybiera drogę taką jak Vore: zemsty. „Boją się nas. I powinni” – mówi Vore. I rzeczywiście, być może na zasadzie samospelniającej się przepowiedni, Vore jest najgorszym koszmarem ludzi o odmienności. Trudno się jednak dziwić – dajemy z siebie to, czym byliśmy napelniani. On doświadczał głównie przemocy i odrzucenia.

Jak już się pewnie domyśliście, dynamizm między parą głównych bohaterów jest źródłem poruszającej historii miłości. Vore jest tym, który pomaga Tinie przekroczyć granice iluzji, w jakiej żyła. Ona, nauczona tłumić swoje prawdziwe ja, ale jednak instynktownie go poszukująca, spotyka kogoś, kto jest świadomy, nie przejmuje się tym, co pomyślą inni, żyje na obrzeżach społeczeństwa, zupełnie wolny. I to on ją wyzwala, prowadzi do prawdy o niej samej.

„Granica” to jeden z tych filmów, który zostaje w widzach jeszcze długo po seansie. Zachęcam, udajcie się w nieprawdopodobną podróż poza swoje granice!

Z MICHAŁEM KUPISZEM ROZMAWIA MARTA CHYŁA-JANICKA

Cesarz z Zatorza, czyli na pohybel hipotermii

Pewnego wieczoru na początku grudnia 2016 roku, pewna żona olsztyńskiego filmowca zaczęła obierać zdrowe, pełne błonnika składniki do pysznej, wegetariańskiej zupy pomidorowej. Miało to ścisły związek z tym, że na olsztyńskim Zatorzu powstawał oryginalny teledysk.

Multiinstrumentalistka Ania Broda, zafascynowana tradycyjnymi utworami z Warmii i Mazur, zdecydowała się na realizację klipu do utworu z płyty *Thousand Lakes*. Zaprosiła do współpracy olsztyńskiego filmowca, Michała Kupisza. Wybór utworu nie był łatwy – album jest pełen dawnych, zapomnianych melodii, które oferują wiele interesujących możliwości dla filmowych realizacji. Michał zdecydował, by nakręcić film do piosenki *Siedział cesarz na tronie*.

M.Ch.: Czemu wybrałeś ten utwór z płyty do realizacji klipu? Czy jest Ci w jakiś sposób bliski?

M.K.: To był proces. Pierwszą styczność z jej twórczością miałem podczas zdjęć do swojego filmu *Lawendowy wiatr*. Ania grała na otwarciu Lawendowego Muzeum Żywego. Moja córka Inka uległa wyraźnej fascynacji twórczością Ani. Jej piosenki kotyłały ją do snu, a mnie przenosiły w czasie do własnego dzieciństwa. Stopniowo zauważałem, jak moja wyobraźnia odnajduje się w tych dźwiękach, tworząc obrazy pod konkretne utwory. Tak narodził się pomysł stworzenia filmu do utworów Ani Brody, przedstawiającego historię Parasolnika, konstruktora parasoli, który przez kłęskę suszy staje się osobą bezrobotną. Na skutek nieoczekiwanych okoliczności przenosi się do krainy baśni, by tam szukać sposobu na sprowadzenie deszczu.

W realizacji pomysłu pomogły mi otrzymane Stypendium Artystyczne Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego oraz Ania Broda, która zakończyła zbiorówkę na wydanie

płyty *Thousand Lakes*. Uznałem, że utwór *Siedział cesarz na tronie* świetnie wpisze się klimatem do historii Parasolnika. Przygotowałem wstępny koncept, który spodobał się Ani. Następnie zaprosiłem przyjaciół, którzy zgodzili się zagrać przypisane im role. Poza Cesarzem powstały jeszcze dwie realizacje filmowe dotyczące tego projektu, jednak póki co w wyniku ograniczonego budżetu znajdują się w zawieszaniu. Mam nadzieję, że uda się do nich wrócić.

Po wielu próbach operatorskich, przymiarkach kostiumów, analizie tekstu Michał przystąpił do realizacji pomysłu. Mimo ograniczonej tkanki tłuszczowej aktorzy wytrzymali siarczysty mróz w specyficznych kostiumach. Tytułowy Cesarz (Piotr Dudek) oraz Cesarzowa (Magda Dudek) musieli dołożyć wszelkich starań, by nie zniszczyć, powycierać, zabrudzić, podrzeć powierzonych im peruk i strojów pełnych bogatych ornamentów. Łatwiej miała olsztyńska fotografa, Krystyna Janusz, grająca młodszą siostrę, miłośniczkę łączenia stylu z wygodą. Jej bohaterka nosiła dresy – wtedy świat odnotował, że Krystyna tak samo diabelnie dobrze wygląda w dresach, jak i w tych eleganckich ubraniach, które nosi na co dzień.

Starszą siostrę grałam ja. Michał wprowadził mnie w pomysł, porozmawialiśmy o mojej postaci. Byłam hipiszką, która sprzeciwia się ojcu i nie zamierza iść na wojnę. Pożyczyłam perukę, chustkę na głowę. Kupiłam džinsy z rozszerzanymi nogawkami, co w roku 2017 było osiągnięciem na miarę zdobycia półtoratysięcznika w deszczowy dzień.

M.Ch.: Co było wyzwaniem podczas tworzenia teledysku?

M.K.: Wyzwaniem były czas i warunki pogodowe. Nagrywaliśmy zimą. Podczas realizacji mieliśmy na planie i deszcz, i śnieg, i mróz.

M.Ch.: Aktorzy z planu wideoklipu na nowo zdefiniowali słowo „hipotermia”.

M.K.: Bałem się bardzo o aktorów, czy się nie rozchorują po zdjęciach. Prawie wszystkie sceny nagrywaliśmy na zewnątrz. Próbowaliśmy rozstawić namiot i kręcić pod nim, jednak okazał się zbyt niski i wchodził w kadr. Poza tym zabierał cenne światło. Nagrywaliśmy w przerwach deszczu.

Warunki były ciężkie, na szczęście Monika (żona Michała – przyp. M.Ch.) przygotowała pyszną zupę pomidorową, dzięki której wszyscy wyszli z tego bez szwanku i nikt się nie pochorował. Temat tej zupy wraca za każdym razem, kiedy pojawia się rozmowa o Cesarzu.

Trochę zachodu było także z kostiumami. Na szczęście dzięki pomocnym ludziom wszystko udało się zgromadzić na czas. Tu szczególne ukłony w stronę pani Ireny Telesz-Burczyk oraz Muzeum Warmii i Mazur.



Fot. z archiwum Michała Kupisza

M.Ch.: Czy myślałeś o Cesarzu jako o teledysku?

M.K.: W sumie nie nazywam tego teledyskiem. Podchodziłem do tych realizacji jako do filmowych ilustracji muzyki Ani Brody, tworzonych pod konkretny musicalowy projekt filmowy. One są częścią tego projektu, stanowią składowe większej całości. Nie znaczą to oczywiście, że nie mogą funkcjonować niezależnie; nie są jednak typowym teledyskiem. Bliżej im chyba do malarstwa, choć nie potrafię malować (śmiech). Pewnie dlatego zdecydowałem się w ogóle wystartować z *Cesarzem* w konkursie Olsztyńskiego Biennale Sztuki. Z typowym teledyskiem nie odważyłbym się. Pewnie bym nawet o tym nie pomyślał. W tym przypadku postanowiłem jednak zaryzykować i szczęśliwie okazało się, że była to dobra decyzja.

M.Ch.: Wygranie Biennale zaowocowało indywidualną wystawą prac fotograficznych i filmowych w BWA. Jak się czuje twórca filmowy w galerii sztuki?

M.K.: Tak jak wspomniałem powyżej, postanowiłem zaryzykować, i, jak widać, komisji konkursowej chyba to moje ryzyko przypadło do gustu (śmiech). Bardzo mnie ucieszyła wiadomość o Grand Prix, choć wcale się na to nie nastawiałem. Nie mogłem w to długo uwierzyć. Przede wszystkim miałem satysfakcję, że nie zawiodłem osób, które zaprosiłem do uczestnictwa w tym nagraniu. Mam nadzieję, że oni też mają poczucie, że wzięli udział w czymś, co w dużej mierze dzięki ich poświęceniu zostało zauważone i wielu ludziom się podoba, a ich trud nie poszedł na marne.

M.Ch.: Czy uważasz, że popularyzacja filmów w galeriach sztuki jest ważna?

M.K.: Film jest jedną ze sztuk. Farby, kamera, aparat, glina to tylko narzędzia, które dobierają sobie twórcy w zależności od preferencji, umiejętności, zamiłowania czy pomysłu. Często zdarza się, że artyści korzystają z wielu narzędzi i technik. Nie rozumiem, dlaczego popularyzacja sztuki filmowej nie miałaby mieć wstępu do galerii sztuki. Nie mówię tu o zalaniu galerii tysiącami długometrażowych filmów; w tym świetnie spełniają się festiwale filmowe. Jednak skoro podczas tych festiwali często mamy do czynienia z różnymi wystawami towarzyszącymi i nikomu to nie przeszkadza, a wręcz świetnie uzupełnia wydarzenie – to dlaczego dostrzega się problem, patrząc na to z drugiej strony?

M.Ch.: Co jest dla Ciebie ważne jako twórcy?

M.K.: Poszukiwanie. To jest dla mnie najważniejsze. Poszukiwanie poprzez obserwację, uczestniczenie, odczuwanie i współodczuwanie, analizowanie i kwestionowanie, myślenie i błędzenie. Staram się gromadzić wszystko w głowie, przerabiać, poddawać obróbce, piłować, przycinać, sztukować, przyjmować, upychać, odkładać, odrzucać, wypluwać, pielęgnować. Jakoś to sobie układają, bo wszystko jest szalenie ciekawe. Ciekawi są ludzie, ich losy, historie, jakie tworzą, sytuacje i zdarzenia, świat, jaki budują wokół siebie. Potrzebuję tego, bo to porządkuje mój świat, pozwala mi go lepiej zrozumieć, sprawia, że nabieram dystansu do wielu spraw, a i być może spowoduje, że ktoś inny także zauważy w tym coś dla siebie. Jednocześnie boję się, że jest tego tak wiele, a życie jest takie krótkie i tyle do zrobienia, że ze wszystkim nie zdążę.

M.Ch.: Dzielisz się swoją wiedzą filmowca z młodzieżą – możesz o tym opowiedzieć?

M.K.: Uważam, że świat fotografii i filmu jest fascynujący. Stąd warsztaty filmowe, połączone często z historią kina. Aktualnie uczestniczę w projekcie Bardzo Młoda Kultura z ramienia Narodowego Centrum Kultury, który umożliwia prowadzenie warsztatów z młodzieżą. Ostatnio miałem przyjemność prowadzić zajęcia w Planecie 11 w Olsztynie. Myślę, że fajnie jest proponować zajęcia nastawione na wzbudzenie kreatywności uczestników i pobudzenie ciekawości świata.

M.Ch.: Jakie są Twoje kolejne plany?

M.K.: Mam już niemal gotowe scenariusze do następnych utworów Ani Brody, w tym także do świeżej kompozycji *Zatorzańskie tango*, która nie została jeszcze nagrana. Póki co pracuję nad dwoma filmami dokumentalnymi.

MICHAŁ KUPISZ – absolwent Wydziału Nauk Społecznych i Sztuki UWM. Uczestnik indywidualnych oraz zbiorowych wystaw fotograficznych. Filmowe zainteresowania pogłębiał w Warszawskiej Akademii Filmu i Telewizji, kończąc szkołę z wyróżnieniem. Zdobywca Grand Prix jubileuszowego X Olsztyńskiego Biennale Sztuki „O Medal Prezydenta”. W październiku 2018 w olsztyńskim BWA odbyła się indywidualna wystawa pt. *Sześcián*, prezentująca jego dokonania filmowe i fotograficzne.

MARTA CHYŁA-JANICKA – absolwentka polonistyki UWM. Ukończyła z wyróżnieniem Szkołę Filmową w Łodzi na specjalności filmu animowanego; jej filmy zdobyły kilka nagród na zagranicznych festiwalach filmowych. Obecnie zajmuje się pisaniem scenariusza serialu i średniometrażowego filmu animowanego. Okazjonalnie prowadzi warsztaty dotyczące animacji. Laureatka tegorocznej nagrody Talent Olsztyna nadanej przez Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka w Olsztynie. Pierwsze wzmianki o jej osobie w „VariArcie” pojawiły się w pierwszym numerze tego pisma (nr 1/2008).



Fot. z archiwum Michała Kupisza

ANNA RAU

Ludzie w labiryncie

Pewnego letniego wieczoru na placu Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie z dnia na dzień pojawił się palający wewnętrznym światłem pawilon. Było w nim coś ulotnego. Biała – dzięki obleczeniu z materiału – konstrukcja była lekka, delikatnie przejrzysta, a wewnątrz coś mówiło, poruszało się i szemrało. W półmroku całość stawała się lekko niepokojąca, zwłaszcza gdy ciekawski przechodzień skuszony światłem zaglądał do środka i nagle... znajdował się w labiryncie czasu. Natychmiast osaczyły go czarno-białe fotografie z wizerunkami niejednokrotnie naturalnej wielkości. Na wysokości oczu kusily zapisane ekrany – z komunikatami odczytywanymi jednocześnie przez niewidzialnych lektorów. Tu i ówdzie pojawiały się wyeksponowane obiekty podkreślające wymowę i cel niezwyklej konstrukcji: jakieś szafeczki z otwieranymi drzwiczkami, za którymi leżały skorupy naczyń, jakieś szufladki z dokumentami, jakieś mobilne romby z portretami. Słyszalne strzępy muzyki. Niewidzialne rzutniki wyświetlały obce, a jednak jakoś znane twarze. A może te twarze nie były z rzutników?... Ale skąd? I o co w ogóle chodzi?! Ten oniryczny labirynt to olsztyńska odsłona ogólnopolskiej wystawy czasowej „Wrastanie. Ziemię Zachodnie i Północne. Początek”.

Wysiedlenia to temat niezwykle bliski mieszkańcom naszego regionu. Najbardziej oczywiście starszym lub po prostu dorosłym – ale tym bardziej dobrze, że i młodzież lub dzieci, już kulturowo jednoznacznie „tutejsze”, mogły dzięki niezwyklej

mobilnej wystawie poczuć klimat i zrozumieć istotę osobliwości Ziemi Odzyskanych, czyli też rodzimych Warmii i Mazur. Wielkim plusem wystawy „Wrastanie...” był bowiem nie tylko prezentowany w nowoczesnej odsłonie materiał faktograficzny, ale przede wszystkim właśnie niezwykle starannie zaaranżowana możliwość wczucia się w świat osiedleńców. Ekspozycja działała na zmysły: wzrok, słuch, dotyk... Bogata ikonografia budująca klimat labiryntu była porażająca niecukrowanym autentyzmem – czarno-białe zdjęcia nie miały nic wspólnego z powojennymi hiperoptymistycznymi plakatami z oficjalnego obiegu. Zdjęcia przedstawiały zmęczone kobiety, mężczyzn, dzieci, starców z tobołami i wózkami. Niezawodne konie czy nawet osły ciągnące drewniane wozy. Ruiny-wspomnienia przeszłości. Stopniowo, im dalej w wystawę, na fotografiach pojawiały się grupki skromnie ubranych ludzi, nieśmiało uśmiechniętych, na pierwszych wycieczkach, majówkach, sąsiedzkich uroczystościach. Dzieci w niedawno zawiązanych klasach. Wierni na pierwszych procesjach. Pasażerowie w jakichś improwizowanych pojazdach. Kolejno tło budują odbudowywane i upiększane budynki. Ale na zdjęciach obserwować można również i pochody, czy tłumy na jedynie słusznych wiecach. Samo życie – trochę sacrum, trochę profanum. Labirynt ekspozycji budowało kilka paneli tematycznych – m.in. poświęcony poszczególnym regionom Ziemi Odzyskanych, obrazujący stosunki wewnętrzne wśród osiedleńców, opowiadający o miejscu Kościoła w nowej rzeczywistości czy też odkrywający wewnętrzne zagubienie nowo przybyłych.

Porównanie wysiedleń, tej wielkiej wędrówki przedstawicieli chyba wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej, do labiryntu niezwykle odpowiada tamtejszej rzeczywistości. Labirynt to zagadka, niepewność, dla niektórych nieskończoność. Polacy z Kresów Wschodnich, czy nawet mieszkańcy Polski środkowej, porzucali znane i kochane tereny rodzinne, i ruszali ku mgliście określonymu celowi, czyli Ziemiom Odzyskanym. Po drodze, niczym w średniowiecznym eposie, czekały ich liczne spotkania z grozą – rabusiami, gwałcicielami, złodziejami, mordercami, samozwańcami przedstawicielami którejś władzy, aż ostatecznie lądowali na cudzych ziemiach, pozbawieni poczucia więzi, bezpieczeństwa i pewności co do przyszłości, pełni natomiast lęku, tymczasowości i tęsknoty. Państwowa propaganda epatowała hasłami o historycznych prawach Polaków do Ziemi Północnych i Zachodnich oraz wizjami dostatnich domów i pól czekających na nowych mieszkańców, ale zastana rzeczywistość miała niewiele wspólnego z tak wykreowaną ideologią. Nowa ojczyzna częściej straszyla niż witała – domy pachniały jeszcze pośpiechem odjazdu poprzednich właścicieli, z wielu miejsc wiało zgnilizną, spustoszeniem i żałobą. Osadnicy

Fot. Anna Rau



popychani niemożnością pozostania na ojcowiznie lub zwyczajną chęcią poprawy swoich warunków, lecz również wiarą w „powrót do Macierzy”, lądowali nagle w totalnie innym świecie. Jak się odnaleźć wśród ruin, nie swoich kościołów, na nieznaną rolę? Nowe ziemie były poniekąd atrakcyjne – choćby krajoznawczo, ale właściwie nieznaną. Jak się do nich przywiązać? Mieszkańcy Kresów, nawet jeśli nigdy nie przyjechali do Krakowa lub stolicy, wiedzieli nieporównywalnie więcej o Małopolsce czy Warszawie niż o ziemiach bądź co bądź dotąd niemieckich. Jednym słowem osiedlali terra incognita. Gdziekolwiek śledziły ich poczynania oczy przyczajonych autochtonów-kamikadze. Co to za sąsiedzi?! Obcy, po stokroć obcy. Jeszcze inną kwestią była tęsknota. Jak zapomnieć o pozostawionym życiu – nie zawsze dostatnim czy dobrze zorganizowanym – ale znanym? Jak – wreszcie – zapomnieć o pozostawionych grobach? Czy ja „tu” zastąpić?

Ostatni z paneli wystawy, „Wtedy poculiśmy się naprawdę u siebie”, kończył zwiędzenie optymistycznym akcentem. Współczesność, czyli obecny rozwój odzyskanej „Macierzy”, potwierdza słuszność tego rozwiązania konstrukcyjnego oraz starych

mądrości ludowych: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni” oraz „Nie ma tego, co by na dobre nie wyszło”. W końcu o ile pierwsze pokolenie osiedleńców miało problemy i z tożsamością, i z zadomowieniem, o tyle już ich dzieci, a zwłaszcza obecne wnuki, czy nawet prawnuki, są po prostu „miejscowe”. Dawni mieszkańcy Ziemi Odzyskanych stopniowo zostali przywróceniu do należnego im miejsca w historii tych terenów. Autochtoni odzyskali status „prawdziwych tubylców”. Sama wędrówka ludów, jakkolwiek związana z licznymi dramatai jednostek, ostatecznie po prostu wzbogaciła kulturę regionów. Nigdy więcej?... Historia kołem się toczy.

Wystawę można było zwiedzać w Olsztynie w sierpniu 2018 r. Organizatorzy: Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Ośrodek „Pamięć i Przeszłość” we Wrocławiu, Instytut Zachodni im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu, Muzeum Narodowe w Szczecinie – Centrum Dialogu Przełomy, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie Scenariusz wystawy: Katarzyna Bock-Matuszyk



ARKADIUSZ ŁUBA

Żydowski mord rytualny – długie życie kłamstwa

Sandomierz znany jest popularnie z pogromów i prześladowań czarownic. 60 km od niego w kierunku zachodnim, w okolicach dzisiejszych Kielc, leży najstynniejsza Łysa Góra. Kacper Polański, historyk sztuki i ekonomista, zafascynowany historią lokalną wyjaśnia: „Między VII a XIX w. znajdowały się tu pogańskie miejsca kultu założone przez politeistycznych Słowian. Czczono tu Ładę, Bode, Lele, Śwista i Pogodę. Czczono boginie płodności, ale także boga słońca – Peruna. Jan Długosz wymienia ich w swojej kronice. Z nastaniem chrześcijaństwa rozpowszechniło się przypuszczenie, że czarownice odbywały tu swoje sabaty i spotykały się z diabłem. Zatem miejsca pogańskiego kultu niszczone, a na nich wznoszono zakony benedyktynów”. Region województwa świętokrzyskiego w jakiś szczególny sposób był podatny na legendy i niesamowite opowieści...

Diecezja sandomierska obchodzi w tym roku swoje dwusetlecie (1818-2018). W tamtejszej bazylice katedralnej wisi obraz Carlo de Prevo, przedstawiający rzekomy żydowski mord rytualny dokonywany na chrześcijańskich dzieciach. Podobne obrazy odnalezć można w wielu innych europejskich miastach. A obrazy mają ogromną siłę. Wpływają na nasze postrzeganie świata, nie tylko w obecnej epoce obrazkowej. Jedną z studentek antropologii, która w grupie prof. Joanny Tokarskiej-Bakir prowadziła w 2005 r. badania nad sandomierskim obrazem i jego odbiciem w świadomości

Carlo de Prevo, „Infanticidia” („Mordercy dzieci”), Katedra Sandomierska, fot. © Arkadiusz Łuba (fragment)



sandomierzan (badania te zostały nb. znakomicie udokumentowane w monografii pt. „Legenda o krwi. Antropologia przesądu”, WAB, Warszawa 2008), stoi przed dziełem de Prevo zatytułowanym „Infanticidia” („Mordercy dzieci”) i zszokowana powtarza za oprowadzającym ją przewodnikiem: „Żydzi sprawdzają, czy dziecko jest zdrowe. Upuszczają mu krew. Później wkładają je do beczki naszpikowanej gwoździami i kręcą nią. Nieżywe szczątki rzucane są psu na pożarcie”.

Ale kim był Carlo de Prevo? Ten włoskiego pochodzenia zubożały malarz epoki baroku szukał w Polsce mecenasów i stawy. W sandomierskiej katedrze stworzył cykl pt. „Martyrologium Romanum”, ukazujący brutalne uśmiercanie chrześcijańskich księży. Ich cierpienia miały emocjonalnie wstrząsać wiernymi i umacniać ich w pobożności. Do cyklu tego należy także obraz przedstawiający „morderców dzieci”. „Infanticidia” mają tu jednak specjalną pozycję. Obraz został mianowicie pomyślany jako dowód rzekomych żydowskich mordów rytualnych w Sandomierzu z lat 1698 i 1710. Zamówił go w 1708 r. duchowny Stefan Żuchowski. To on oskarżał tamtejszych Żydów. W miasteczku stanowili oni połowę ludności i byli lepiej zorganizowani niż chrześcijanie, jak zauważa Kacper Polański: „Jeśli chodzi o rozwój interesów, to Żydzi wzajemnie się wspierali. Istniało coś w rodzaju kas zapomogowych. Chrześcijanie za to bardziej ze sobą konkurowali i siłą rzeczy przegrywali tę konkurencję z Żydami. W wyniku tego zmuszeni byli oddawać im różne rzemiosła i handel detaliczny. Zamożni Żydzi zaczęli wykupować kamieniczki przy rynku. To głównie stawało się kością niezgody”.

Inscenizowano procesy. Ale mimo tego nie udało się wypędzić Żydów z miasta. W 1942 r. Niemcy zorganizowali tam getto i zgładzili Żydów. Ale legenda mordów rytualnych przetrwała. Krótko po wojnie doszło w Polsce do fali pogromów na Żydach, z kieleckim na czele. Plotka o porwaniu chrześcijańskiego chłopca doprowadziła tam 4 lipca 1946 r. do zamordowania czterdziestu polskich Żydów, dalszych osiemdziesięciu zostało rannych.

Ze starymi mitami próbował zmierzyć się autor kryminałów Zygmunt Miłoszewski. W jego książce „Ziarno prawdy” odkryto niedaleko starej synagogi w Sandomierzu ciało tamtejszej działaczki społecznej, kobiety o nieskazitelnej reputacji. W pobliżu leży chalef – żydowski nóż do uboju koszerne. Inne martwe ciało zostało umieszczone w beczce nabitej gwoździami. W ciałach ofiar nie ma kropli krwi – podobnie jak w tradycyjnym uboju zwierząt przez Żydów. Wzrastają nastroje antysemityczne. Gorączka medialna sięga zenitu. Histeria ogarnia miasteczko. Jeden z bohaterów Miłoszewskiego wykrzykuje: „Trzeba chronić dzieci przed misterium krwi. (...) Nie rozumiem, dlaczego nie mamy odwagi zastanawiać się głośno, czy przypadkiem po

latach nie wrócili do Polski mordercy rytualni. (...) W każdej legendzie jest ziarno prawdy. Przypominam, że wielu Żydów zostało skazanych w prawomocnych procesach za porwania i zabójstwa dzieci. (...) Fakty to są dwa trupy zabite według starego żydowskiego rytuału, misterium krwi, praktykowanego od wieków w wielu miejscach świata”. Jak mało trzeba, by stare demony odżyły po latach.

Ale oskarżenia Żydów o mord rytualny nie były specjalnością polską i nie tu zostały wymyślone. Ich historia jest znacznie starsza niż data powstania obrazu de Prevo. Zaczyna się bowiem w połowie wieku XII w angielskim Norwich. Legenda mówi, że Żydzi ukrzyżowali tam chłopca. Po pogromie Żydów w heskiej Fuldzie w centrum Niemiec w 1235 r. zaczęto przypisywać Żydom używanie krwi dzieci chrześcijańskich do tamowania krwotoków podczas obrzezania żydowskich noworodków. Żydzi mieli zabijać z nienawiści do chrześcijaństwa, powtarzać i profanować ukrzyżowanie Jezusa. Od tego momentu rozprzestrzeniło i utrwaliło się przekonanie, że Żydzi mogliby mordować w celach rytualnych.

Według różnych badań prawie każda społeczność żydowska przynajmniej raz w ciągu następnego kilku stuleci była oskarżana o morderstwa rytualne. Swoje apogeum legenda mordów osiągnęła po procesie trydenckim z 1475 r., zaznacza profesor Anna Michałowska-Mycielska, kierująca Centrum Badań i Nauczania Dziejów i Kultury Żydów w Polsce. Podczas tego procesu oskarżono Żydów o brutalne zamordowanie dwuletniego Szymona, którzy z jego krwi mieli przyrządzić mace na święto Paschy. W rzeczywistości niekwaszone ciasto macy składa się z mąki i wody. W historii domniemyanych mordów rytualnych prawdą jest tylko jedno zdarzenie, jak podkreśla badaczka: „Rzeczywiście znajdowano ciała. Ale nie były to ofiary mordów żydowskich, a różnego rodzaju wypadków czy ataków dzikich zwierząt. Także przekonanie o konieczności dodawania krwi do niekwaszonego chleba jest zupełnie bezzasadne. Kuchnia żydowska absolutnie zakazuje spożywania krwi. Żadne potrawy nie mogą mieć krwi, mięso musi być starannie oczyszczone”.

Historię Szymona z Trydentu opublikował drukarz Albert Kunne jako operujące stereotypami broszury propagandowe w języku niemieckim i opatrzył je odpowiednimi rycinami. Za nimi poszły w druk inne, nieustannie kopiujące kłamliwe oskarżenia. Powielane obrazy miały przy tym możliwie silnie oddziaływać na emocje odbiorców, by ci wierzyli w to, co widzą. Papież Sykstus IV potępiał kult Szymona i w liście papieskim z 10 października 1475 r. przestrzegał przed wzrastającymi nastrojami antyżydowskimi, atakami na Żydów i ich mienie.

Miłoszewski pokazuje, jak niebezpieczne mogą być takie legendy. Antysemityzm przybiera dziś znowu na sile w różnych miejscach ziemskiego globu. Publikacja warszawskiego Centrum Badań nad Uprzedzeniami z 2012 r. wykazała, że nadal około 10% Polaków wierzy, że Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci. Tego typu mity występują głównie u osób o niskim wykształceniu, mieszkających na wsi i w mniejszych ośrodkach miejskich, w szczególności we wschodnich częściach kraju. Grupa

studentów antropologii zadała to samo pytanie mieszkańcom Sandomierza. Jedną z studentek była zaskoczona, że wielu ludzi jest w stanie uwierzyć w prawdziwość legendy o mordach rytualnych: „Jak można głosić coś takiego?! Ludzie są miłymi starszymi czy młodymi osobami, a jednocześnie głęboko wierzą w to, że gdzieś w szafie czy w piwnicy ktoś znalazł takiego umęczonego przez Żydów chrześcijanina.”

Do dziś przyjeżdżają do Sandomierza turyści specjalnie po to, by zobaczyć obrazy de Prevo. Jedni, by umocnić się w przekonaniu, że Polacy są narodem antysemitów. Inni, by się umocnić w wierze, że Żydzi rzeczywiście mordowali dzieci chrześcijańskie. Katarzyna Ziolo, zastępca burmistrza miasta, stawia na edukację. Chce przybliżyć wielokulturową przeszłość miasta publicznej świadomości: „Historia ta jest niezwykle ważna dla historii Sandomierza. Jest synagoga i mam nadzieję, że niedługo powstanie ścieżka edukacyjna związana z historią ludności żydowskiej. Ta historia powinna być tu przypomniana, obecna i nie powinna być w żaden sposób deprecjonowana”.

W międzyczasie zapomniano o związkach niechlubnej miejskiej legendy z historią Szymona z Trydentu. Wokół sandomierskiego obrazu protestowano, żądano jego usunięcia ze świątyni. Sesje naukowe opisywały jego związek z historią sztuki, ówczesnymi stosunkami chrześcijańsko-żydowskimi, umieszczały go w pamięci i kontekście europejskim. Niewątpliwie stał się on symbolem lokalnej przeszłości i jako taki został opatrzony różnymi pouczającymi komentarzami. Pozostaje jednak pytanie, czy konferencje naukowe, komentarze i opracowania mogą pokonać sugestywną siłę obrazów.

Albert Kunne, *Historia Szymona z Trydentu*, Augsburg 1475, Bawarska Biblioteka Narodowa Monachium



ANITA ROMULEWICZ

Młodzi z Różą Małego Księcia

Gdy w 1991 r. Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie zorganizował po raz pierwszy konkurs literacki dla młodych ludzi, z założenia miał on charakter ogólnopolski. W kwietniowym numerze „Gazety Olsztyńskiej” ukazała się wówczas skromna notatka pt. „Młodzi literaci”, z której można się było dowiedzieć, że nagrodę główną w dziedzinie prozy otrzymał Krzysztof Wyrzykowski z Dobrego Miasta, natomiast w dziedzinie poezji – Piotr Gwiazda z Olsztyna. Przeszli oni tym samym do historii tego najstarszego w Olsztynie konkursu literackiego dla młodych piszących.

Z każdym rokiem konkurs nabierał rumieńców. Nie od pierwszej edycji nosił też miano konkursu „O Różę Małego Księcia”. Już pod koniec lat 90-tych cieszył się tak dużym zainteresowaniem, że bogato relacjonujący IX edycję konkursu jeden z członków jury – literaturoznawca Zbigniew Chojnowski – podsumował go słowami: „Narybku literackiego jest ci u nas dostatek”. Ponad 300 zestawów wierszy i opowiadań z całego województwa warmińsko-mazurskiego oceniała wtedy komisja składająca się ze znawców literatury: Teresy Brzeskiej-Smerek, wykładowcy literatury dla dzieci i młodzieży, Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej – pisarki oraz Iwony Łazickiej-Pawlak, która przez wiele lat prowadziła Klub Literacki Młodych, skupiający literacko uzdolnioną młodzież z Olsztyna i okolic. Nagrodzone teksty można było przeczytać na łamach „Gazety Olsztyńskiej” z 28 czerwca 1999 r. opatrzone grafikami olsztyńskiego rysownika – Jarostawa Gacha.

Dzisiaj, po kolejnych dwóch dekadach, organizatorom konkursu nadal przyświeca ten sam cel – poszukiwanie młodych talentów, tyle że wyłącznie na terenie Olsztyna. W podsumowaniu XXVII edycji grono jurorskie: dr Joanna Chłosta-Zielonka (przewodnicząca) oraz pisarze – Michalina Janyszek i Mariusz Sieniewicz podkreśliło, że zmiana warty w regionalnym środowisku literackim jest tylko kwestią czasu, bowiem poziom tegorocznej edycji był niezwykle wysoki. Dodają przy tym: „świat wciąż domaga się opisanego, zwłaszcza dziecięcym słowem i frazą”. Dlatego też na łamach naszego pisma publikujemy utwory laureatów wybrane spośród 102 nadesłanych prac. Na początek prezentacja nagrodzonych wierszy autorów z najstarszej kategorii wiekowej.

Kategoria POEZJA

Nagroda główna: MARIA WARZOCHA, wiersze „Dojrzewanie”, „Introspekcja”, „Naprawdę”, „Niewzruszeni ekspresjonści”, „Poezja kuchennego zlewu”, kl. III GA, Gimnazjum nr 2
Wyróżnienie: ZOFIA WARZOCHA, wiersze „Co zrobię z mądrością”, „Formy”, „Drogi różne”, [„Dzisiejsze piękno”], „Koło literackie”, kl. III GA, Gimnazjum nr 2

Wyróżnienie specjalne: MARIA KLEWIADO za wiersz [„Zagrożony gatunek kobiety...”], kl. III h, Szkoła Podstawowa nr 33
JULIA JANUSZEWSKA za wiersz „Upadliśmy”, kl. III, Szkoła Podstawowa nr 11 z oddziałami gimnazjalnymi

Kategoria PROZA

Nagroda główna: ILONA PROKOPOWICZ, opowiadanie „Kim jest śmierć?”, kl. III a, Szkoła Podstawowa nr 5 z oddziałami gimnazjalnymi
Wyróżnienie: ZUZANNA JARCZEWSKA, opowiadanie „Kochać to niszczyć”, kl. III h, Szkoła Podstawowa nr 33 z oddziałami gimnazjalnymi
ALICJA LEŚNIAK, opowiadanie [„Kolejny deszczowy dzień w Londynie...”], kl. III e, Gimnazjum nr 3

Maria Warzocha
NIETRUSZENI EKSPRESJONISCI

Co im mówili

Mówili im tak
absurd nonsens są definicją dewiacji
mówili im tak
odrzuć tradycję i akademizm
to objaw degeneracji

mówili im sztuka nie stanowi reakcji
wobec tragedii
naszego istnienia.

NAPRAWDĘ

Miłość
i jej banały
mogą skończyć się na przykład
krwotokiem z nosa
naprawdę

możesz wypić do pół litra krwi
nim cię zemdle.

POEZJA KUCHENNEGO ZLEWU

Patrz oto
rozbita szklanka
na klejącej podłodze
i patrz
oto pieczywo głowa świniaka
gnijące fiołki na blacie

patrz zakurzony krzyż przybity
na drzewach
mówią mi nie wskazuj palcami
oto
naczynia brudne
w nienaganych stosach.

Patrz
oto nasze życia spływające w dół
kuchennego zlewu.

INTROSPEKCJA

Zanurza się człowiek-utopista
po podbródek we własnym otoczeniu
łapie nietakome wdech
Tak mało brakuje by się zachłystnął
krzycząc wzburza cieć kudły ma zlepione
w gorące strąki
W nim nie ma żadnego wariactwa
on balansuje na powierzchni chciałby
dryfować
jak wierzbowa gałązka

Kto by do diabła nie chciał

DOJRZEWANIE

Trzymałeś nóż
na klatce piersiowej
pod żebrami
pod kątem
czterdziestym piątym

byłeś
o pchnięcie
do urzeczywistnienia
okresu dojrzewania.

Zofia Warzocha
CO ZROBIĘ Z MĄDROŚCIĄ

Co zrobię z mądrością
którą posiadam kiedyś
idąc przeżuję ją jak
źdźbło
zielonej trawy
wyszę z niej co soczyste

kiedy wypluję tego nie wiem
mam przecież
całkiem zobowiązujące imię

FORMY

Spójrz
nasz świat jest
amorficzny

Świat to płatanina

Spójrz
ludzie nadają mu kontur
na przykład
okrągłego brzucha matki
z wystającym pępkiem

Dają mu formę
gorącego jak piekło chleba
i oka
z czarnymi rzęsami
szklanej kuli

Nadają mu krągłych kształtów
kobiety
nasz świat ma biodra
piersi
mruga do nas
filuternie

DROGI RÓŻNE

Hindusi wierzą
że miłość jest drabiną do niebios
Hindusi wymyślili
spacery po rozżarzonych węglach

ścieżkę ku doskonałości
mam przecież

Dzisiejsze piękno
ma wagę monety –
jest na sprzedaż
i pachnie szamponem
przeciwłupieżowym

możemy je sobie zafundować

komercyjne ideały
to drogie marki perfumy zębów
usta wysmarowane
lepką mazią ze srebrem
proste życie

minimalisty

KOŁO LITERACKIE

Poznałam młode pokolenie artystów
przełotem podaliśmy sobie dłonie
to pokolenie nie zna wojny nie
pamięta
wojny jednak
wojnę nosi w koniuszkach
palców

to jest
nowe pokolenie.
dla nich czerwień
ma mało wspólnego z sierpem
i młotem
bo oni w rękach nie mieli ni sierpa
ni młota ni czerwieni

nie noszą pióra w pięści
Matkę mają jedną czasem wcale
jednego mają Dziadka
ich XXI wiek
jest zimną epoką.

Maria Klewiado

zagrożony gatunek kobiety
zapomina oddychać.
pragnie jedynie wymiany myśli,
przeżywając męki czekania.
nie cierpi na słowotoki,
poznaje jednak odpowiedzi na pytania,
których nawet nie potrafi zadać.
przeżywa egzystencjalne rozterki
i kryzysy wartości.

ozdoba rodzaju ludzkiego

Julia Januszewska
UPADLIŚMY

Gdy wypaliliśmy najtańszą paczkę
Wtedy spadaliśmy powoli
Mimo że mamy najlepsze buty
To nawet one nas nie uniosą
Widząc tylko puste denko, czy księżyc w te najlepsze
noce
To nadal spadaliśmy
Budząc się z tą piękną cerą i obawą przed najgorszym
Zamykając furtek strony
Upadliśmy

